NUMER 185/186
1956

PORADNIK
KULTURALNO-OŚWIATOWY

wydawnictwo
Światowego Komitetu
Y.M.C.A.
Sekcja Polska
w W. Brytanii

TREŚĆ

PRENUMERATA: Rocznie — £1 sh. 1. Półrocznie — sh. 12.
Cena numeru pojedyńczego sh. 2, podwójnego sh. 4 wraz z przesyłką.

We Francji: Comité d'Action YMCA en France, Sekcja Polska, 13, Avenue Raymond Poincaré, Paris 16-e.
PRENUMERATA: Roczna 700 frs., półroczna 360 frs. Cena numeru pojedyńczego 60 frs., podw. 120 frs.

OGŁOSZENIA: 1/1 str. — £15. 1/2 str. — £8. 1/4 str. — £4. 1/8 str. — £2.

Rękopisów niezamówionych i niezastrzeżonych Redakcja nie zwraca.

Printed by N. MacNeill & Co., Press Ltd., 127, Walworth Rd., London, S.E.17.

P O R A D N I K
KULTURALNO-OŚWIATOWY

ADVISER FOR EDUCATIONAL AND SOCIAL WORKERS

Nr 185/186 Rok 16	Wydawca: Światowy Komitet Y.M.C.A., Polska Sekcja w W. Brytanii. 46/47, Kensington Gardens Square, London, W.2.	Styczeń-luty 1956

FELIKS BIELSKI

WYBORY I WŁADZE

Wchodzimy w okres, kiedy wiele organizacji społecznych przeprowadza wybory do swych władz. Niedawni dygnitarze organizacyjni stają się niekiedy zwykłymi członkami, a osoby, pozostające w cieniu, zjawiają się na wysuniętych, odpowiedzialnych stanowiskach. Komisje - matki rozmyślają nieraz długo nad tym, w jaki sposób rozłożyć odpowiedzialność za robotę kierowniczą i komu powierzyć funkcje administracyjne w taki sposób, aby zyskało na tym dobro powszechne. Zdarza się, że walne zebrania są tłumne — i wtedy ma się do czynienia z nadmiarem kandydatów. Kiedy jednak tylko szczupła garść najbardziej oddanych współpracowników bierze udział w obradach, kłopot sprawia dla odmiany znalezienie osób chętnych do pracy.

Spośród różnych niebezpieczeństw kojarzących się z wyborami, dwa wydają się szczególnie pospolite. Pierwsze — to zastygnięcie organizacji w określonych ramach, ustalenie się stałego składu zarządu, tak jak gdyby zasiadające w nim osoby musiały spełniać swe czynności dożywotnio. Drugie — to upodobanie do „nowych twarzy", wskutek czego z poprzednich władz ustępują wszyscy, a na ich miejsce przychodzą kandydaci, nie oswojeni z urzędowaniem i niedość zrośnięci z tradycją organizacyjną. W pierwszym przypadku organizm społeczny zaczyna chorować na brak świeżej krwi; w drugim staje się podobny do rośliny, która nie może zapuścić głębiej korzeni i wskutek tego skazana jest na uwiąd.

Jak zwykle w tego rodzaju dylematach, najlepsze jest rozwiązanie pośrednie. Jeżeli wskutek takiej polityki z władz ustąpi jakaś jednostka wartościowa, nie znaczy to wcale, aby należało z jej usług rezygnować na zawsze. Każdemu wyjdzie na dobre, jeśli przez pewien czas przyjrzy się widowisku nie ze stanowiska aktora, lecz zwykłego widza. Przy następnych wyborach osoba, pozostająca na „urlopie społecznym", może znaleźć się ponownie „u władzy", wypoczęta, odświeżona i z nowym zasobem zapału.

Tak wygląda „polityka wyborcza" z punktu widzenia interesów organizacji i ogółu członków. Jak odczuwają jej kaprysy kandydaci? Są tylko ludźmi i zdarza się, że przywiązują się do wykonywanych czynności tak, że niechętnie rozstają się z nimi, zwłaszcza jeśli praca jest odpłatna (co w naszych warunkach nie jest zjawiskiem częstym). Należy to do dobrych obyczajów, aby prawdziwą zasługę odpowiednio ujawnić i wynagrodzić. Nie chodzi o jakieś wielosłowne, zdawkowe pochwały, zabierające niepotrzebnie czas na walnych zebraniach, ale o rozsądne, przemyślane formy uznania, odpowiadające dokonanej pracy. Czy będzie to list, wysłany przez nowo obrane władze, czy nadanie godności honorowej, czy zapraszanie odczasu do czasu na pewne imprezy, czy jakiś inny gest pamięci i wdzięczności, to zależy od przypadków indywidualnych. Nie jest zjawiskiem zdrowym bezwzględne stosowanie w życiu społecznym znanego zawołania: Król umarł — niech żyje król!

Innym niepokojącym objawem jest wycofywanie się czynnych pracowników z pola działania. Staje się ono coraz częstsze, wskutek czego marnuje się cenny kapitał doświadczenia społecznego. Liczyć się oczywiście trzeba z czynnikami zdrowia i wieku, zmuszającymi zasłużonych działaczy do bardziej oględnego gospodarowania własnymi siłami. Można ich jednak zachować dla organizacji korzystając z ich usług w zakresie ograniczonym. Jeżeli zachodzi przypadek zmiany zainteresowań, udaje się niekiedy skorzystać z tego dla dobra organizacji, z którą dana jednostka pozostawała w styczności, przez uwzględnienie w programie nowej tematyki.

Mechanizm społeczny jest wytworem złożonym. Składa się nie z martwych kółek, lecz z żywych ludzi, o zwykłych przymiotach i wadach. Aby takim mechanizmem gospodarować, trzeba mieć zawsze na względzie jego osobliwą strukturę.

ŚWIETLICA
technika pracy — zagadnienia kulturalne i oświatowe

WIESŁAW MIRECKI

TRUD TEATRU

PRACA CZY ZABAWA?

Nie tak to dawne stosunkowo czasy, gdy na aktora patrzano jak na „niebieskiego ptaka“, co to nie sieje, nie orze, a przecież zbiera. A choć on Bogiem a prawdą nie zawsze wystarczająco zarabiał, by głodu nie zaznać, i przeważnie uczciwą biedę klepał, to jednak jakoś utarło się mniemanie o łatwym aktorskim chlebie. Szło z tym w parze lekceważenie, politowanie, nierzadko wzgarda dla zawodu „komedianta“. Toteż nic dziwnego że „poważne i czcigodne“ mieszczaństwo umieściło ludzi sceny poza nawiasem swego towarzystwa, że nawet rodziny, uważające się za „postępowe“, a do teatru uczęszczające ze szczerym często entuzjazmem, nie zawsze przecież miały drzwi swoich domów dla aktorów otwarte. Gdy zaś, w takim domu, wspomniał kto czasem, podczas rozmowy towarzyskiej, o aktorach i pracy na scenie, wzruszano tylko ramionami. „Co to za praca“? „Pokrzywi się taki jeden z drugim, poprzedrzeźnia, pokrzyczy i pracą chce to nazwać“? „I jeszcze za to błaznowanie każą sobie płacić“! „Nie chce im się wziąć do uczciwej roboty, to idą do teatru“! „Leniuchy i darmozjady“!

Być może, że do wyrobienia tego rodzaju opinii o swym zawodzie przyczyniali się sami aktorzy. Był to bowiem okres „cyganerii“. Kto tylko czuł w sobie „iskrę Bożą“ talentu, kto uważał się za „artystę“, ten musiał być „cyganem“. To znaczy musiał inaczej żyć, inaczej się ubierać, inaczej się zachowywać niż przeciętny śmiertelnik. Artystycznej cyganerii noce miały służyć nic do spania, lecz do zabaw i hulanek, alkohol i czarna kawa miały być jedynymi jej napojami, papieros nieodłącznym towarzyszem. Czy było tak w istocie? Sądzić wolno, że nie wyglądało to w praktyce tak groźnie. Pewnie, że w kieliszku utonął niejeden prawdziwy talent, że ten „styl“ życia przypłacano czasem zdrowiem, ale dużo, bardzo dużo było w tym tylko pozy, zgrywania się na co dzień, rozmyślnego drażnienia mieszczuchów. Pod prowokacyjnym ubiorem i sposobem bycia kryły się przeważnie najpoczciwsze w świecie dusze i wspaniały materiał na porządnych i statecznych ojców rodzin.

Przeciętny obywatel nie widział nigdy aktora przy pracy podczas mozolnych prób czy ćwiczeń, świat teatru był bowiem wtedy bardziej jeszcze niedostępny, zamknięty dla ciekawskich niż dzisiaj. Przeciętny obywatel widywał aktorów jedynie na balach, w kawiarniach i restauracjach, jednym słowem, w „lokalach“, w gronie właśnie krzykliwej, hałaśliwej podpitej cyganerii. A wiadomo, że „Jak cię widzą, tak cię piszą“.

Powoli wszakże, wraz z rozwojem prasy i dziennikarstwa, świadomość ciężkiego trudu, jaki towarzyszy pracy scenicznej, poczęła przenikać do ogółu społeczeństwa. Powoli życie teatru przestało być tajemnicą, a prawda o jego pracy wzbudziła szacunek dla zawodu aktora. Dowiedziano się, że każdą premierę poprzedza okres długich, uciążliwych prób, że jest to wysiłek nie tylko artystyczny i psychiczny, ale i trud czysto fizyczny i to bynajmniej niemały; że każde przedstawienie, aczkolwiek daje sposobność wyżycia się aktorom, zużywa przecież ich siły, wyczerpuje system nerwowy i że wreszcie, poza próbami i pracą na scenie, aktor musi ciągle jeszcze pracować nad sobą, uczyć się, ćwiczyć i kształcić.

Wszystko to, cały ten proces zmian w opinii ogółu wobec ludzi sceny, cały proces uświadamiania sobie przez społeczeństwo powagi zawodu aktora dawno się już odbył i zakończył. A przecież jeszcze dziś można się spotkać z zastarzałymi uprzedzeniami. Do dziś pokutuje tu i ówdzie w stosunku do ludzi sceny niczym nie umotywowane lekceważenie ich zawodu. Czasem wyciągnie ktoś jeszcze z lamusa słowo „cyganeria“, czasem ktoś jeszcze mruknie, że „to nie praca a zabawa“. Na szczęście te zacofane, odosobnione zapatrywania zaszkodzić już dziś aktorom nie mogą.

Jest przecież odcinek życia społecznego, gdzie scena staje się czasem miejscem zabawy w teatr, tylko zabawy niestety. Mamy tu na myśli niektóre „wyczyny“ zespołów amatorskich. Podkreślam z naciskiem: niektóre, bynajmniej bowiem nie chcemy naszych zastrzeżeń uogólniać i od razu pragniemy stwierdzić, że wiele wystąpień tych zespołów z pewnością zasługuje na miano wyczynu bez cudzysłowa. Fakt jednak, że przypadki lekkomyślnego ustosunkowania się do sceny wśród ludzi, amatorsko na niej występujących, zdarzają się i że nie są to przypadki zbyt odosobnione, zmusza nas do poświęcenia tej sprawie nieco uwagi.

Zasadniczym błędem, popełnianym tak przez twórców i wykonawców przedstawień amatorskich, jak i przez ich odbiorców - widzów, jest przeświadczenie o całkowitej artystycznej nieopowiedzialności amatorów, a właściwie ściślej o ich prawie do tej nieodpowiedzialności. Dodatek na afiszu czy programie: „zespół amatorski“ ma rozgrzeszać jakoby reżysera, aktorów, dekoratora ze wszystkich grzechów, popełnianych przez nich w stosunku do granego utworu i do sceny.

Nic więc dziwnego, że z chwilą zrzucenia ze siebie jakiejkolwiek artystycznej odpowiedzialności grono amatorów potrafi czasem szukać jedynie okazji do zabawy w swojej teatralnej działalności, dla której słowo „praca“ istotnie staje się najmniej stosownym określeniem. Praca? Trochę się tam na próbach poczyta na głos „nabijając się“ przy tym solidnie jedni z drugich, trochę pokręci się po scenie w wesołym rozgardiaszu, zwanym „próbą sytuacyjną“, i . . . koniec. Uczyć się na pamięć nie trzeba, bo od czegóż jest sufler? Aktorskiej werwy znajdzie się dość w kieliszku (to niestety prawie że reguła!). A sukces i tak murowany, bo rodziny i znajomi będą bili brawo, aż im ręce spuchną!

Najwięcej przecież zabawy jest po przedstawieniu. Ileż to śmiechu z tego, że pan Stasio, powiedzmy, tyle wypił „dla kurażu“, że mu się język plątał podczas grania, że panna Władzia na skutek tremy zapomniała, co ma mówić, i wreszcie przemówiła, ale słowami z innego aktu, że pan Tadzio starający się otworzyć drzwi ciągnął je w przeciwnym kierunku, na skutek czego poczęła się przewracać ściana, którą w ostatnim momencie przytrzymał z tyłu reżyser. Jeżeli dodamy do tego te wszystkie superlatywy, których miejscowi władcy sceny nasłuchają się do syta: „byłaś wspaniała“!, „aleś pokazał, co umiesz“!, „niech się zawodowcy przy was schowają“!, — mamy mniej więcej obraz spustoszenia kulturalnego, jakie jedno nieodpowiedzialne przedstawienie amatorskie potrafi wywołać.

Czy użyliśmy zbyt czarnej farby do naszego obrazu? Czy zbyt złośliwie podkreśliliśmy pewne zjawiska? Może . . . Ale wierzcie, czytelnicy obraz ten jest . . . bardzo bliski prawdy. I przez to już jest on groźny.

Naturalnie, jak to już z naciskiem zaznaczyliśmy poprzednio, zdajemy sobie sprawę, że istnieją zespoły, które pracują rzetelnie, osiągają wyniki budujące i stale tak w wiadomościach z dziedziny teatru, jak i w praktycznych scenicznych umiejętnościach robią postępy, idą naprzód, rozwijają się . . . Ale i w takich wypadkach słowa krytyki czy konkretne zarzuty, postawione zespołowi, mogą być słuszne, i przeważnie też spotykają się z odpowiedzią: „to słuszne, ale ostatecznie nie jesteśmy zawodowcami . . .“.

Chwyćmy sprawę na gorąco, uczepmy się tego powiedzenia. Wydaje nam się bowiem, że trzeba uporządkować chaos, panujący wokół tych dwóch pojęć o teatrze: „amatorski“ i „zawodowy“.

ZAWODOWCY i AMATORZY

Zadziwiająca jest doprawdy lekkomyślność i dowolność w używaniu tych terminów. Z niepokojącą łatwością szermuje się określeniem „amator“, „amatorszczyzna“ w stosunku do kogoś, kogo pragnie się zdyskwalifikować artystycznie, a równocześnie ciągle uważa się za „zawodowca“, kogoś, kto dawno nim być przestał, lub nawet nigdy nim nie był.

Czym mierzy się zawodowstwo? Dyplomem zawodowej uczelni? Ależ pokaźna ilość ludzi sceny, tak w Polsce, jak w innych krajach, uczelni tego rodzaju nie ukończyła! Iluż zaś wychowanków szkół dramatycznych całe życie pracuje w zawodach nic nie mających z teatrem wspólnego! (w Anglii specjalnie!). Talent, zdolność? Te zwykły rodzić się właśnie na scenie amatorskiej, by potem ewentualnie przejść na zawodową. Praktyka, ilość ról, ciągłość pracy? Iluż zawodowców posiadało puste sezony! Jakże często zdarzały się luki w ich pracy! A równocześnie znane były zespoły amatorskie, które pracowały stale, wystawiając więcej premier w sezonie od niejednego miejskiego teatru! Zdarzali się bowiem tacy zapaleńcy, amatorzy o tak gorącym sercu, tak wielkim zamiłowaniu do pracy w teatrze, że wypełniała im ona każdą wolną chwilę od pracy zarobkowej, stwarzając dla nich cel zasadniczy zainteresowań życiowych. Umiejętności, wiedza teatralna? Istot-

nie, zawodowcy górują nad amatorami znajomością rzemiosła scenicznego, ale tylko w zakresie ogólnym; w przypadkach indywidualnych zdarzyć się może zarówno amator, znający rzemiosło sceniczne i posiadający rozległą wiedzę teatralną, jak i zawodowy kabotyn, którego cała „technika" aktorska opiera się na arsenale tanich gierek i przestarzałych „chwycików".

Istnieje tylko jedna różnica bezwzględna, jeden bezsporny miernik: pieniądz. Zawodowiec zarabia na życie pracą w teatrze, amator pracuje bezinteresownie. Ten, kto aktorstwem zarabia na chleb powszedni, czyja egzystencja opiera się na pieniądzach z kasy teatru pochodzących, jest aktorem zawodowym. Ten, kto z pracy aktorskiej nie ciągnie korzyści materialnych, kto utrzymuje się z innych źródeł pieniężnych, a pracy na scenie oddaje się jedynie dla zaspokojenia wewnętrznej potrzeby, jest amatorem.

Tak więc określenia „zawodowy" czy „amator" nic nie mówią o wartości artystycznej danego aktora; „teatr zawodowy" czy „teatr amatorski" nic nie mówią o wartości artystycznej danego teatru. **Nie ma bowiem teatru zawodowego i amatorskiego jako dwóch rodzajów sztuki teatralnej. Istnieje tylko jeden niepodzielny Teatr. Nie ma aktorów zawodowych i amatorów jako dwóch rodzajów aktorstwa. Istnieje tylko po prostu aktorstwo.**

Sceny nie obchodzi, czy ten, kto po niej stąpa, posiada dochód płynący z kasy teatru. Scena żąda jedynie, by ten, kto jej progi przekracza, umiał się po niej poruszać, umiał mówić, grać, istnieć jako postać sceniczna, by był aktorem.

Zarówno więc zawodowcy, jak i amatorzy są odpowiedzialni za pracę sceniczną. Odpowiedzialność ta jest większa lub mniejsza, rośnie w miarę tego, im dłużej kto pracuje na scenie, im większe, trudniejsze role podejmuje; niewielka jest, gdy ktoś stawia pierwsze kroki sceniczne. Ale zawsze istnieje! Od pierwszego przedstawienia! Od pierwszej kurtyny, która podniesie się po to, by ukazać aktorów na widowni.

I jeśli określenie „amator" „amatorszczyzna" przyjęło się dziś jako synonim nieudolności, umiejętności gry scenicznej, jako dyskwalifikacja artystycznej wartości roboty teatralnej, to dlatego, że, jak wspomnieliśmy już, zbyt często amatorzy sądzili, że są zwolnieni dlatego właśnie, że są amatorami, od jakiejkolwiek odpowiedzialności artystycznej, odpowiedzialności względem rzemiosła sceny.

„Amator", „amatorstwo" wywodzą się od pięknego słowa „amo", kocham, miłuję. Pokochać, umiłować scenę znaczy ją szanować, pokochać aktorstwo, granie, znaczy starać się robić to coraz lepiej, znaczy uczyć się, ćwiczyć, pracować. Nie jest „amatorem", miłośnikiem sceny, kto lekkomyślnie „zabawia się" w teatr, kto „odstawia" na niej „kawałki", „wygłupia się", szuka łatwej uciechy. Nie jest „amatorem", kto sądzi, że wystarczy wejść na sceny, wypowiedzieć z pamięci (i to nie zawsze) tekst, by grać, że wystarczy twarz umazać, by zostać aktorem.

Teatr, aktorstwo, granie to wielka przyjemność, to radość z przebywania w świecie niecodzienności. **Będziemy zawsze do tej radości mieć prawo, gdy towarzyszyć jej będzie nasz trud teatru, trud pracy scenicznej.**

Nie można oczywiście żądać, by każdy, kto pragnie grać na scenie, posiadał talent; wystarczą skromne nawet zdolności. Nie można żądać by każdy, kto zajmuje się pracą sceniczną na marginesie swej pracy zarobkowej, posiadał świetnie opanowane rzemiosło sceniczne. W każdym bowiem rzemiośle są majstrzy, czeladnicy i... terminatorzy: wszyscy potrzebni! Ale wszyscy też muszą uczyć się, pracować nad sobą, robić postępy, udoskonalać. Wszyscy muszą podjąć trud teatru!

SZCZEGÓLNE ZADANIE

Na jednym ze zjazdów kierowników oświatowych polskich ośrodków wyspy brytyjskiej, odbytym w Londynie, padło pytanie: „czy zespół amatorski może grać Fredrę"? Postawienie tego pytania dowodzi z jednej strony, że wielu odpowiedzialnych kierowników zespołów teatralnych amatorskich docenia trudności, związane z graniem sztuk tak niełatwych, jak komedie Fredry, z drugiej zaś strony, że chęci ich i ambicje idą w jak najzdrowszym kierunku.

Zanim postaramy się na to nienajprostsze pytanie odpowiedzieć, skorzystamy z okazji, by sprawę repertuaru poruszyć zasadniczo. Czynimy to mimo, że sprawa ta była poruszana już niejednokrotnie, ale wydaje nam się, że zmiany, jakie w życiu uchodźstwa polskiego zachodzą, dostatecznie nas do jej wznowienia upoważniają.

Repertuar stoi w ścisłym związku ze stanem dojrzałości aktorskiej danego zespołu. Jest rzeczą zrozumiałą, że siły początkujące,

niewyrobione, bez przyswojonych podstaw rzemiosła aktorskiego, nie mogą sięgać po repertuar trudniejszy. Powinny więc próbować swych sił na utworach prostych, naiwnych, jak ludowe wodewile, jasełka, inscenizacje nietrudnych wierszy, piosenek, baśni, jednym słowem, na repertuarze, przy którego realizacji surowość aktorów-wykonawców nie tylko nie będzie razić, ale może być nawet bardzo pożądana. (Przestrzegamy przy tym przed mylnym sądzeniem, że każda jednoaktówka nadaje się do grania przez początkujących, dlatego tylko, że jest utworem krótkim. Jest to nieporozumienie, bardzo często niestety spotykane. Oczywiście jednoaktówka bywa jednoaktówce nierówna. Może ona czasem być istotnie utworem protym, łatwym, naiwnym, ale zasadniczo utwór sceniczny, zamknięty w jednym akcie, jest trudniejszy do grania od utworu pełnospektaklowego. To bowiem, co w sztuce trzyaktowej jest do pokazania, zrobienia na przestrzeni dwóch do trzech godzin, w jednoaktówce musi być zrobione, pokazane w niecałą godzinę. Aktor nie ma tu „oddechu“, nie może liczyć na to, że jeśli w pierwszym akcie nie „rozegrał“ się należycie, to ma możność rozprężenia się, rozegrania w aktach następnych. W jednoaktówce od podniesienia kurtyny trzeba dawać ze siebie maksimum możliwości aktorskiej. Jest to zadanie trudne dla dojrzałego aktora, a cóż mówić o „terminatorze“?

Łatwy, przystępny repertuar był zawsze treścią pracy zespołów pracujących amatorsko. Czas jednak, miejsce naszego na uchodźstwie pobytu i **warunki, w jakich żyjemy, stawiają przed teatrem amatorskim zadanie szczególne.** Zredagujemy je następująco: **Jako jeden z najważniejszych środków, służących utrzymaniu polskości i kultury narodowej, musi istnieć na uchodźstwie teatr polski, grający dzieła naszej literatury dramatycznej.** Ponieważ uchodźstwo nie potrafiło zdobyć się na utrzymanie chociażby jednego zespołu złożonego z aktorów zawodowych, **zadania tego muszą się podjąć terenowe zespoły amatorskie. Nasz polski repertuar, sztuki z naszego skarbca kultury narodowej muszą być grane! Dla dzieci, które w angielskich szkołach uczyć się ich nie będą, dla młodzieży, która ich poznać nie zdążyła, dla dorosłych, którzy jakże często też tych sztuk nie znają!**

By wszakże temu zadaniu podołać, zespoły amatorskie stają wobec ogromu pracy. Warto i trzeba jej się podjąć. Nie można od wodewili, bajeczek i piosenek przejść bezpośrednio do wielkiego repertuaru, nie można brać przeszkody, na której pokonanie nas nie stać. Trzeba pracę zespołu rozplanować, wyznaczyć sobie etapy tej pracy, sprowadzić fachowych instruktorów, zaprawiać się i ćwiczyć w rzemiośle sceny. Trzeba po prostu uczyć się teatru.

Wracamy obecnie do pytania, postawionego przez jednego z uczestników wspomnianego zjazdu: „Czy można grać Fredrę“? Odpowiadamy: w żadnym wypadku z ludźmi, którzy nic z rzemiosła aktorskiego nie umieją, w żadnym wypadku z zespołem początkującym w pracy scenicznej! Zastrzegamy się przy tym, że czas nie jest miernikiem dojrzałości w tej dziedzinie. Można „grać“ latami nie robiąc postępów i niczego się nie ucząc, można wciąż powtarzać te same błędy. Jeśli natomiast zespół opanował przynajmniej podstawy scenicznego rzemiosła, jeśli w pracy swej przyjął celową metodę, jeśli posiada odpowiedzialnego kierownika,—wtedy Fredrę grać nie tylko można, ale i trzeba!

Zespoły amatorskie nie są przeważnie związane trudnościami, które pokonały zawodowców. Posiadają przede wszystkim wielki kapitał: czas. Nie są związane żadnym sztywnym terminem, mogą próbować sztukę tak długo, jak tego ona wymaga. Dalej mogą sobie pozwolić na sztuki wieloosobowe, gdy idzie o ilość ról. Wreszcie niezbędne środki materialne, potrzebne na dekoracje, kostiumy itd., dostarczane są przeważnie przez miejscowe organizacje społeczno - kulturalne. Tego, czego tym zespołom brak, to znaczy umiejętności grania, znajomości zasad pracy aktorskiej, tego można nauczyć, nauczyć się. Temu celowi służyć będą nasze uwagi, wskazówki i ćwiczenia. Jeśli początkującemu aktorowi pomagają one w pokonywaniu trudności związanych z aktorskim rzemiosłem, cel naszego wysiłku zostanie osiągnięty.

— — — — — — — — — — — — — — —

Był w Warszawie teatrzyk w Łazienkach, w tak zwanej „Pomarańczowni“, teatrzyk-bombonierka, nie używany niestety od lat. Gdy kiedyś Aleksander Zelwerowicz zwiedzał z grupą młodych aktorów tę śliczną, bezużytecznie stojącą scenkę, powiedział, wskazując na bogate ornamenty sali teatralnej: „Mam wrażenie, że tam, gdzieś w kącie, między tymi pięknymi ozdobami czuwa duch tej scenki i czeka na aktorów. Zachowajmy się spokojnie, nie płoszmy go“!

Wydaje nam się, że każda scena czy scenka, zarówno ta wielka, piękna, bogata, ze złoceniami i pluszem, jak i ta najmniejsza, najuboższa, barakowa, o kotarach z sienników i koców, posiada takiego swojego ducha. Osoby wrażliwe łatwo wyczują jego obecność, jeśli zajrzą na scenę, gdy stoi ona pusta i cicha. Ten duch sceny jest czymś, co potrafi pomóc niezmiernie wszystkim, którzy zechcą na scenie rzetelnie pracować. Ale można go łatwo spłoszyć nieodpowiednim zachowaniem się, nieposzanowaniem sceny, brakiem pracy, parodią aktorstwa. Wtedy zniknie i nie powróci już nigdy.

JÓZEF EKKERT

POLSKA PIEŚŃ LUDOWA

1. Pojęcie pieśni ludowej

O polskiej pieśni ludowej wspomina wielu dawnych pisarzy polskich. Między innymi autor „Dworzanina", Łukasz Górnicki z czasów złotego wieku zygmuntowskiego, pisał: „Kmieć w gorące dni śpiewając sobie o lipce mało pracy a potu czuje". W innym znów miejscu czytamy: „Takież i owa kmietówna we gzle (koszuli), która zimie do dnia prząść albo tkać wstaje, nie zdrzymie się śpiewając, a robotę sobie uczyni miłą".

Jeśli weźmiemy pod uwagę pieśni, skomponowane w skali archaicznej, to w pewnych wypadkach melodia może być podstawą oceny wieku pieśni. Niektóre pieśni obrzędowe, wymieniające nazwy bóstw pogańskich, sięgają pochodzeniem w czasy przedchrześcijańskiej Polski.

Określenia pojęcia pieśni ludowej przedstawiają dużą rozpiętość. W Niemczech przez pewien okres czasu pieśń ludową określano nazwą „Gassenhauer" (pieśń uliczna). Nazwę pieśni ludowej „Volkslied" zawdzięczają Niemcy Herderowi. Wybitny muzykolog niemiecki Henryk Riemann przypisuje pieśni ludowej następujące znamiona: powstaje wśród ludu wieśniaczego, autor pieśni najczęściej nieznany, czas powstania bliżej nieznany. W szerszym znaczeniu za pieśń ludową uważa również pieśń artystyczną, która z biegiem czasu weszła w usta ludu. Inne jeszcze określenie pieśni ludowej, wypowiedziane przez Riemanna, to pieśń artystyczna, utrzymana w stylu ludowym, o łatwej melodii i prostej budowie. We Włoszech pieśń ludową określa się nazwą „villanella".

Jeśli jednak pieśń ludowa przeciwstawia się pieśni artystycznej, to przecież nie dlatego, że jest pozbawiona artyzmu. Ma ona bowiem swój artyzm nieświadomy w swej prostocie, płynnej linii melodii i wyrazie, w których lud wypowiada swoje uczucia wesołe i smutne.

W przebiegu wieków zainteresowania pieśnią ludową ulegały różnym zmianom: nurt jej biegł już to odrębnie w odosobnionej samotności od pieśni artystycznej i jej twórców, już to zwracał na siebie uwagę kompozytorów. Zainteresowanie pieśnią ludową twórców muzycznych, przyswajanie sobie jej wyrazów, budowy, melodii i w ogóle jej ducha, nadawało ich utworom rumieniec młodości i żywość. Wiele zawdzięczała pieśni ludowej polifoniczna muzyka holenderska, francuska i niemiecka XV wieku. Wiadomo również, że nasz wybitny muzyk XVI wieku Mikołaj Gomółka komponował swoje psalmy do słów Kochanowskiego w formie prostej, przeznaczonej „nie dla Włochów, lecz Polaków naszych, prostych domaków". W niektórych psalmach Gomółki spotykamy się z motywami pieśni ludowej, śpiewanej w Polsce. Na przełomie wieku XVIII i XIX pieśń ludowa skupia na sobie uwagę nie tylko poetów - romantyków, lecz także muzyków. Fryderyk Szopen, pod tchnieniem i czarem polskiej pieśni ludowej „śpiewanej nad Wisłą", tworzy przepiękną muzykę polską o wybitnych znamionach polskiego stylu narodowego.

Posłuchajmy, jak wypowiada się o muzyce ludowej w swoich wykładach o literaturze słowiańskiej Adam Mickiewicz: „Chłop, który orząc swoje pole i patrząc w niebo znajduje nutę, nie zdając sobie sprawy z jej pochodzenia, tworzy prawdziwą poezję liryczną".

Różnorodność pieśni ludowej polskiej i jej forma dowodzą w sposób oczywisty wielkiego uzdolnienia muzycznego naszego ludu. Wybitny kompozytor Filip Telemann traktuje swoje wrażenia z pobytu w Polsce: „Nikt nie uwierzyłby, jakie nadzwyczajne fantazje improwizują grajkowie na dudach albo na skrzypcach podczas odpoczynku tancerzy. Kto robiłby notatki, mógłby w ciągu tygodnia zebrać zapas pomysłów na całe życie. Słowem, jest w tej muzyce dużo dobrego, jeżeli umie się to wykorzystać". Telemann był konsekwentny.

Wykorzystał zaobserwowane zalety muzyki polskiej w dwóch sonatach na dwoje skrzypiec i basso continuo i nazwał je polskimi.

W Polsce określa się pieśń ludową, jako tworzoną przez muzykalne jednostki wśród ludu, zawsze bezimienne. Pieśni te, podawane w żywej tradycji z ust do ust i z pokolenia na pokolenie, tworzą jakby żyjące archiwum, mieszczące skarby inwencji melodii, rytmu i poezji. Nie utrwalane w piśmie ani w druku, tekst i melodia ulegają zmianom, już to z powodu ułomności pamięci śpiewaka, już to świadomie dla nadania pieśni rysów lokalnych. Zmianę tekstu powodują często nowe cechy topograficzne. Jeśli np. pieśń „Z tamtej strony jeziora stoi lipka zielona“, zawędruje w okolicę bezjeziorną, to pieśń zmienia tekst na „A stoi w polu lipka, a to piękna, zielona“. Podobnej zmianie ulega pieśń kontuszowa „Wezmę ja kontusz, wezmę ja żupan“ — w ustach ludu brzmi ona tak: „W niedzielę rano (bis) drobny deszcz pada. A już moja miła, moja najmilejsza do mnie nie gada“. Wędrując po różnych regionach i z biegiem czasu przechodząc z pokolenia na pokolenie, doznaje pieśń różnych odmian melodii i tekstu. Warianty są tym liczniejsze, im pieśń jest popularniejsza.

Różnica między pieśnią ludowa a artystyczną polega również na tym, że pieśń ludowa sama swoją melodią wypowiada się zupełnie, podczas gdy pieśń artystyczna dopiero w związku z akompaniamentem tworzy skończoną całość. Na twórczość pieśni ludowej, jej melodię, rytm, tempo, dynamikę, składają się wpływy rasowe, temperamenty, inteligencja, wyobraźnia ludu oraz krajobraz i klimat danego kraju. Inaczej kształtuje się forma i wyraz pieśni górala, inaczej znów pieśń mieszkańca nizin. Nieprzejrzane, nizinne stepy rozbrzmiewają smutną dumką. Wpływ krajobrazu i klimatu przyczynia się do powstania regionalnych odrębności pieśni ludowej.

Im dalej sięgniemy w przeszłość, tym bardziej wolne tempo życia, prymitywne środki transportowe, powolna, indywidualna praca ręczna, warunki społeczne i gospodarcze, przez długie lata nie ulegające zmianom, wpływają korzystnie na długowieczność pieśni ludowej. Regionalny strój ludowy znajduje w pieśni ludowej swój wyraz (karazyja wyszywana itd.). Trudne warunkie komunikacyjne, „glebae adscriptio“ (zakaz opuszczania miejsca urodzenia), sprzyjają wykwitowi regionalizmu, który w pieśni znajduje swój wyraz. Natomiast industrializacja kraju, łatwość komunikacji, zanikanie stroju ludowego, szerzenie się płytkiej pieśni miejskiej, trwającej zaledwie chwilę, ujemnie wpływają na pieśń ludową; ostatnie jest schronienie — to niedostępne okolice górskie, z dala od ognisk cywilizacji. W takich warunkach pieśń ludowa, której charakterystycznymi cechami są krzepkość i rozmowach, więdnie i traci rumieniec młodości.

2. Muzykalność ludu polskiego

Muzykalność naszego ludu wiejskiego w dużej mierze kształtuje się dzięki bezpośredniemu obcowaniu z otaczającą go przyrodą. Pastuszek w swoim osamotnieniu cały czas wolny od zabiegów nad powierzonym mu stadem poświęca obserwacji przyrody. Jego słuch staje się niesłychanie wrażliwy na odgłosy otoczenia; jak najczulsza membrana chwyta najsubtelniejsze dźwięki: szum ptactwa przelatującego, szmer strumyka spienionego w walce ze spotykanymi w swym biegu kamieniami i skałami, śpiew ptasząt dolatujący z pobliskiego gaju, wiew lekki wiatru, kołyszącego wiotkimi warkoczami brzozy lub wikliny zdobiącej swą zielenią brzeg niedalekiej rzeki. Cuda przyrody górskiej — odległe horyzonty, przełęcze grzbietów górskich, noszących na sobie ślady walki z wodą i powietrzem, w wyższym jeszcze stopniu pomagają wytwarzaniu się lotnej wyobraźni górala. Stąd też i w pieśni nizinnej i w pieśni rodzącej się w warunkach pięknej, ale zarazem tak często groźnej natury, znajdujemy różnorodny oddźwięk naszej przyrody; stąd też pochodzi różnorodność typów melodycznych i odcieni rytmu.

Nie ma dotąd uzgodnionej opinii, w jakim stopniu lud nasz posiada muzyczne zdolności twórcze. Większość głosów pozytywnie ujmuje tę kwestię. Są badacze, przypisujący ludowi naszemu jedynie zdolności przetwórcze, przejawiające się w przyswajaniu sobie pieśni artystycznej i nadawaniu jej charakteru pieśni ludowej. Pogląd ten jest o tyle słuszny, o ile odnosi się do pieśni artystycznej, przyswajanej przez lud. Lecz pomyślmy o tym bogactwie polskiej pieśni ludowej, która powstała w środowisku rdzennie ludowym. Jej początek zawdzięczamy niewątpliwie jednostkom, wyposażonym w wysokim stopniu w twórczy instynkt muzyczny, jakkolwiek nie wykształconym muzycznie.

Fakty chwytania cudzych motywów muzycznych, często bezwiednie, spotykamy także w pieśniach i muzyce artystycznej. Odwróćmy zagadnienie i zapytajmy, jak często poezja artystyczna szuka wypowiedzenia się w melodii ludowej. Ile takich pieśni spotykamy w naszym narodowym dorobku kulturalnym . Zjawisko to zbyt znane, aby przywodzić specjalne przykłady. Wspomnijmy głos niemieckiego kompozytora Filipa Telemanna, głos Adama Mickiewicza, liczne zachwyty nieocenionego Oskara Kolberga. Grajkowie często po ukończeniu właściwej pieśni z tekstem, na jej motywach tworzą fantazje, pełne pięknych zwrotów melodycznych, podawanych w różnych formach rytmu. Na zabawach tanecznych ludu z okazji dożynek,

oświadczyn, wesel skrzypek pod wpływem uroku granej melodii, porwany zapałem, w dziwnym uniesieniu zarzuca nieraz otoczenie perłami motywów muzycznych. Kto przeżywał takie chwile, ten jest głęboko przekonany, że lud nasz, dzięki swej inteligencji często wprost zadziwiającej, dzięki swej wyobraźni oraz instynktowi muzycznemu, w chwilach podniosłego nastroju zdolny jest tworzyć oryginalne, kilkutaktowe piosenki.

3. Budowa pieśni ludowej

Obok specjalnego materiału tonalnego, możemy dostrzec u naszego ludu często szczególne zwroty melodyczne, znamienne dla rysunku melodii polskiej pieśni ludowej. Rytm — to ożywcze tchnienie pieśni ludowej. Popularnym zwrotem melodycznym naszej pieśni ludowej, stosowanym na początku melodii, jest mała septyma w górę. Interwał septymowy jest w muzyce wokalnej zjawiskiem, wymagającym od śpiewaka sprawności strun głosowych i opanowania głosu. Ten zwrot melodyczny przy odpowiednim rytmie pieśni, np. w mazurze, nadaje pieśni znamię rozmachu i energii (por. pieśń: Jedzie Jasio od przemyśla, wiezie gąsiory). Innym zagadnieniem jest ton gamy, który kończy odnośną melodię. W pieśni pentatonicznej tonem kończącym jest ton jeden z najważniejszych tej gamy. W gamach kościelnych i nowoczesnych zakończenie melodii tworzy zwykle tonika, tj. najniższy ton gamy.

Budowa pieśni ludowej zależy w wysokim stopniu od tekstu; melodia i tekst w pieśni ludowej tworzą ścisły, nierozerwalny związek. Od długości tekstu zależy długość melodii. Nasza pieśń ludowa jest pieśnią zwrotkową. Zwrotka więc zawiera i zamyka w sobie całokształt melodii. Po skończeniu jednej zwrotki przechodzi się do następnej, której treść może się zaznaczać odmiennym nastrojem, wobec czego wykonawca pieśni odpowiednio zmienia tempo i zabarwia brzmienie głosu i jego wyraz stosownie do treści. Podstawą melodii jest fraza dwutaktowa, odpowiadająca tekstowi pierwszego wiersza zwrotki. Najczęstszą zwrotką w naszej pieśni ludowej jest zwrotka czterowierszowa.

Ilość taktów w pieśni ludowej jest różna. Są pieśni o taktach 6, 7, 8, 9, 10, 11, 12 — do 16 taktów. Asymetryczne pieśni ludowe o ilości taktów nieparzystej spotyka się rzadziej, niż symetryczne. Parzystość lub nieparzystość wierszy w zwrotce nie wpływa na symetrię budowy. Przy grupowaniu tekstu w wierszu należy pilnie zważać na takie następstwo wyrazów, ażeby akcent gramatyczny (wyrazowy) zgadzał się z akcentem muzycznym. Jednak pod tym względem spotykamy często odchylenia i akcent wyrazowy pada często na słabą część muzyczną tekstu. Inną właściwością — poza asymetrią — naszej pieśni ludowej jest zmiana rytmu w tej samej pieśni z 2/4 na 3/4 itp.

4. Tematyka pieśni ludowej

Jeśli spotykamy się z pewną niechęcią do przyznawania ludowi zdolności twórczych muzycznych, to odnośnie zdolności twórczej poetyckiej tych zastrzeżeń nie ma. Najczęstszym tematem pieśni ludowej jest miłość (Żegnał góral swą dziewczynę idąc w kraj daleki, — Bywaj zdrowa, moja miła, kochaj mię na wieki). Utrata wianka i zawiedziona miłość również często stanowią przedmiot opowieści (Albo mi wianek wróć, albo mi go zapłać). Pieśń pasterska opowiada o wołkach (Wygonię ja wołki w pole na ugorki), lub o gąskach (Jak ja sobie gąski pasała, to żem się wysoko kasała); częste są narzekania kobiety młodo wyswatanej za mąż (Czemużeś mię, mateńko, za mąż wydała?). Ptaki są częstą treścią pieśni: łabędź, paw, gołąb, kukułka, przepiórka, słowik (Ej, przeleciał słowiczek przez zielony gaiczek, Przez gaiczek zielony, Hen do mej ulubionej). Drzewo, nawet pojedyńczy dąb lub lipa, tworzy rys charakterystyczny w nakreślonym krajobrazie (Pod zielonym dębem stoi koń siodłany) lub jest przedmiotem pracy (Ścinaj, tato, buczki — Ja będę leszczynę). Odpowiednikiem samotnego drzewa, jako szczegółu topograficznego, jest sterczący na polu kamień (Na Podolu biały kamień, Podolanka siedzi na nim). W charakterystyce krajobrazu spotykamy się najczęściej z lakonicznymi określeniami: zielona łączka, czarny las, cienisty bór, gęsty las itp. Dalekie strony określa matka, odprowadzająca syna na wojnę: „Idźże, synu, na kraj świata I powracaj za trzy lata". Często spotykamy w pieśni rozmowę z drzewem (Czego, kalino, w dole stoisz?). Bohaterów pieśni i osób koło nich grupujących się spotykamy zaledwie paru; stosunkowo częste są dialogi, zgrupowanie osób kilku jest nader rzadkie.

5. Styki etnograficzne

Specjalny problem stanowią obszary dwóch sąsiadujących ze sobą narodów. W takiej sytuacji znajdowały się w południowej części Polski region tatrzański i Słowaczyzna. Dalej na wschód od Tatr mieszkali od wieków w Karpatach Łemkowie, zajmując wąski rąbek Karpat aż po przełęcz Łemkowską. Losami ostatniej wojny rzuceni gdzie indziej, pozostawili w dziejach naszego folkloru muzycznego wiązankę pieśni, śpiewanych przez Polaków po polsku, z domieszką słów ruskich. Sami Łemkowie zadziwiali przeciągłą nutą ludność polską, kiedy to w czasie żniw masowo zbiegali (zwłaszcza kobiety) na doliny Podkarpackie, aby po ukończeniu żniw w „Dołach Sanockich" — jak je Pol określał, wrócić do siebie na żniwa, podejmowane w drugiej połowie sierpnia. Na linii Sanu

spotykała się ludność polska z Ukraińcami: wzajemne stosunki, podobnie jak w wyżej wymienionych przykładach, wywoływały przejmowanie wzajemne pieśni z ust do ust. W południowo - zachodniej stronie na pograniczu Śląska i Moraw od wieków sąsiadujące narody dzieliły się wzajemnie dorobkiem pieśniarskim. Sąsiedzkie stosunki tu i ówdzie stwarzały dla muzykologa trudności, polegające na ustaleniu, komu należy przyznać autorstwo danej pieśni. Taką zagadkową pieśnią jest śpiewana po obu stronach Tatr, południowej i północnej: „W murowanej piwnicy tańcowali zbójnicy".

Szczególnie łatwo nawiązywano wzajemne stosunki na pograniczu śląsko - morawskim. Brama morawska ułatwiała przedostawanie się wzajemne ludności obustronnie; stąd też śpiewny repertuar pieśni na tym pograniczu jest szczególnie obfity. W czasach zaborów służba wojskowa polskiego żołnierza na Morawach znalazła swój oddźwięk w pieśni żołnierskiej: „Oj, w Bernie, w Bernie, w magazynie" lub „ Tam w Bernie prześliczny domeczek". Nie brak również wspomnień krwawej bitwy Austriaków z Prusakami w r. 1866 pod Kralewskim Hradem (Königsgratz) w pieśni zaczynającej się od słów: Sześćdziesiąty szósty roczek cały krwią zalany (zmodernizowanej w pierwszej wojnie światowej na: Dziewięćset czternasty roczek).

6. Pieśni taneczne

Polska pieśń ludowa wypowiada się również w mnóstwie pieśni tanecznych, opatrzonych tekstem lub ograniczających się do samej tylko melodii. Zresztą tańce nie zawsze były rozrywką towarzyską. W czasie panowania na ziemiach polskich religii pogańskiej, taniec stanowił część obrzędu religijnego. Tańce, uprawiane jako rozrywka towarzyska, zaznaczały się dodatnio w rozwoju pieśni tanecznej, stwarzając różne formy rytmiczne tańców ludowych i wzbogacając wydatnie polski folklor muzyczny. Tańce ludowe w Polsce wyróżniają się dwoma zasadniczymi typami: krakowiakiem i mazurem. W XVII wieku wielką popularnością — również poza granicami Polski — cieszył się polonez, nazwany tak z francuska (polonaise). W Polsce taniec ten nazywano po prostu „polski". Lud tańczy ten taniec pod nazwą „chodzony".

Rytm krakowiaka 2/4 wyróżnia się charakterystycznymi synkopami, których akcent pada na słabą stronę muzyczną tekstu. Już sama nazwa wskazuje, że ojczyzną krakowiaka są okolice Krakowa; — taniec ten posiada wiele odmian rytmicznych.

Natomiast mazur powstał w nizinnych stronach Mazowsza. Dziarski rytm mazura świadczy o rozmachu tego tańca; jednak melodia mazura, oprócz rozmachu i brawury, może wyrażać subtelne uczucia miłości, smutku, tęsknoty. Obok mazura o rytmie 3/4 lub 3/8, w tym samym rytmie tańczy się oberka, a na Kujawach i w Poznańskim kujawiaka. Tańcem w czasie obrzędu weselnego jest marsz. Ostatnio wypowiadają się niektórzy muzykolodzy, że „polka", której pochodzenie wywodzono powszechnie z Czech, jest jednak tańcem polskim.

BOLESŁAW A. WYSOCKI

TELEWIZJA NA USŁUGACH OŚWIATY

1. OŚWIATA „MASOWA" A TELEWIZJA

W kilku poprzednich artykułach, drukowanych na łamach „Poradnika Kulturalno-Oświatowego", podkreślałem „masowy" charakter oświaty amerykańskiej. Polemika co do celowości i skuteczności tzw. „mass-method" w oświacie jest szeroka i obfituje w argumenty za i przeciw.

Oczywiście nie należy utożsamiać pojęcia „powszechności" z „masowością". „Powszechność" nie jest czymś nowym w oświacie; zawsze była ona uważana za prąd dodatni i utożsamiana nawet z celem oświaty. A więc oświata miała być dostępna zawsze, wszędzie i każdemu. „Masowość" natomiast jest pewną metodą, prowadzącą do tego końcowego celu, jakim jest największa powszechność oświaty.

Kto nie był w Ameryce, kto nie zetknął się osobiście z życiem amerykańskim, ten nigdy nie odczuje znaczenia i wpływu „masowości" w życiu człowieka. Masowość, jak ja ją pojmuję, jest typową cechą życia amerykańskiego i jest jedną z głównych różnic między starą kulturą zachodnio - europejską, a nową, zachodnią kulturą amerykańską. Można śmiało powiedzieć, że Europa ma kulturę zachodnią, Ameryka zaś ma kulturę zachodnią z dodatkiem „nowoczesna". Ta właśnie masowość, której ani w Europie (poza Rosją?), ani w całym świecie się nie znajdzie, jest cechą „nowoczesnej kultury zachodniej". Radio było w Polsce „powszechne", telewizja też jest lub będzie „powszechna", ale w Ameryce są one „masowe". Masowością są dotknięte wszystkie dziedziny życia, a więc

i oświata, i środki porozumiewania, które oświacie służą.

Można bardzo sceptycznie spoglądać na „masowość“ w oświacie, biorąc obecne wyniki, — a więc duże obniżenie poziomu szkół średnich (nieraz katastrofalne), a co za tym idzie, znaczne obniżenie wymagań od studenta w szkole uniwersyteckiej, co z kolei prowadzi do tworzenia czegoś w rodzaju ponaduniwersytetów (Harvard University), których zadaniem jest praca badawcza i rozwój nauki. Jednakże masowość w oświacie ma wiele osiągnięć już teraz; na dłuższą metę może się okazać jednym z rewolucyjnych zjawisk, które pchały ludzkość na coraz to wyższe szczeble rozwoju i postępu.

Telewizja jest, par excellence, masowym środkiem komunikacji, bo dociera ona w tym samym czasie i z tego samego źródła do mas słuchaczy i zarazem widzów. Nawet film, w swym przepotężnym rozwoju, nie dorównuje pod tym względem telewizji, gdyż brak mu współczesności w przekazywaniu i odbiorze nadań, a zatem i współczesnej konsumpcji przez miliony ludzi. Ta potrójna współczesność jest największą zaletą telewizji (i radia, pozbawionego jednak efektów wzrokowych i złudzenia osobistego kontaktu), która predestynuje ją od odegrania naczelnej roli w upowszechnianiu współczesnej kutury. O tej samej wieczornej porze, przy tych samych domowych kominkach, tego samego Eisenhowera, siedzącego przy tym samym kominku, łagodnie uśmiechającego się do każdego i patrzącego na każdego jednakowo, słucha naraz czterdzieści milionów obywateli. Stąd płynie bezsprzeczna potęga telewizji, zapewniająca najskuteczniejsze psychologiczne działanie. Nasz poczciwy Król Kmiotków musiał dzień stracić, by przemówić do jednego podwładnego w jakiejś ubogiej chałupie. Dziś nowoczesny władca, rządzący omal że dwiema setkami milionów bogatych obywateli, odwiedza ich wszystkich w ich własnych salonach, czy też raczej gości ich wszystkich w swym własnym gabinecie, w tym samym ułamku czasu. Zastanówmy się nad psychologicznym znaczeniem tych faktów, porównajmy te dwie odległe epoki ludzkiej historii, a oszołomi nas potęga tego nowoczesnego środka „komunikacji“, jakim jest amerykańska telewizja.

Nic więc dziwnego, że wszyscy są zainteresowani tym środkiem masowego porozumienia, szczególnie zaś oświatowcy, psychologowie i socjologowie. Jesteśmy zainteresowani wpływem telewizji na naszą kulturę, na społeczeństwo, na jednostki. Jesteśmy zainteresowani, między innymi, wpływem telewizji na oświatę.

W Ameryce odczuwa się niezwykły pęd do kształcenia się. Uniwersytety są przepełnione i masy młodych ludzi nie mają możności korzystania z nauki uniwersyteckiej. Problem ten może rozwiązać telewizja. Profesor, który może dopuścić do swego laboratorium kilkunastu zaledwie studentów, ma możność, za pomocą telewizji, powiększyć swą klasę o tysiące studentów. Eksperymenty już się zaczęły. Wiele uniwersytetów zorganizowało regularne klasy telewizyjne, z których korzystają studenci - odbiorcy audycji telewizyjnych. W ten sposób można uczyć się, uzyskiwać zaliczanie wykładów i zdawać egzaminy. Dla Europejczyka - tradycjonalisty jest to coś nie do pojęcia. Pamiętajmy jednak, że w upowszechnianiu kultury ludzkość przeszła już co najmniej dwie rewolucje, związane najpierw z wynalezieniem pisma w ogóle, następnie zaś z wynalezieniem druku.

Telewizja może wywołać rewolucję podobną do tej, jaką było wynalezienie książki. Rewolucyjność telewizji może zaznaczyć się i w badawczej nauce. Dawniej, jeżeli chcieliśmy przeprowadzić jakiś eksperyment albo wybadać jakąś opinię, musieliśmy spędzić nieraz lata, by dotrzeć do tych wszystkich, na których zbadaniu nam zależało. Obecnie, jeżeli chcemy np. ustalić upodobania różnych grup ludzi odnośnie muzyki, malarstwa czy jakiejś innej sztuki, wystarczy opracować odpowiedni program telewizyjny: w przeciągu jednego wieczoru możemy zebrać więcej materiału od większej ilości badanych osób, niż setki doktorantów przy użyciu tradycyjnych kwestionariuszy. Ilustracja ta, może słaba, obrazuje jednak, jakie zmiany może wywołać telewizja nie tylko w szerzeniu oświaty, ale i w naukowej pracy badawczej.

2. NAUCZYCIELE TELEWIZYJNI

Zastosowanie telewizji do oświaty wymaga nowych metod nauczania, a co za tym idzie, nowych nauczycieli, nauczycieli telewizyjnych. W wszystkich szkołach mamy nauczycieli dobrych i złych. W telewizji jednak, która jest jak najbardziej masowym środkiem nauczania, zatrudnienie złego nauczyciela pociągnęłoby katastrofalne skutki. Dlatego też w telewizji podział taki istnieć nie może. Nauczyciele muszą być co najmniej dobrzy. Każdy może sam się przekonać, że program telewizyjny od razu odkryje kiepskiego nauczyciela, choćby ten ca-

łymi latami dobrze się maskował w normalnej szkole.

Przed telewizyjnym nauczycielem otwierają się szeroko wrota do nieskończonych możliwości. Nie każdy jednak nauczyciel, choćby nawet dobry w szkole, jest zdolny podjąć czy uchwycić te możliwości, jakie telewizja daje oświacie. Oczywiście są trudności natury psychologicznej. Już samo pierwsze zetknięcie się z telewizją pozostawia potężne wrażenie. Chociaż programy telewizyjne są dostosowane do warunków normalnej klasy, to jednak nie są one normalne dla samego nauczyciela. Zamiast zwykłej gromadki uczniów jest on otoczony maszynami, aparatami, dźwiękami. To wszystko wygląda dziwacznie, nieraz monstrualnie. A lampy? Te nie tylko oślepiają, ale i palą ciało, co w niektórych wytwarza psychologiczne wrażenie gorącego „piekła". Nauczyciel nie jest tu całkowitym panem sytuacji, lecz we wszystkim jest zależny od reżysera, który biega, skacze, wymachuje rękoma, krzyczy, a w końcu wydaje polecenie rozpoczęcia lekcji. Nie tylko reżyser, ale i setki innych techników biegają, hałasują, przesuwają przedmioty. Najgorszy jest jednak brak normalnej klasy, widoku głupiego, znużonego czy sennego wyrazu twarzy. Pełno ludzi na scenie, ale nikt z nich nie jest zainteresowany przedmiotem lekcji. W takiej sytuacji nauczyciel, chociaż znajduje się w studium, społecznie nie istnieje. Doznaje wrażenia jakiejś bezosobowości i sztuczności. Czuje się automatem.

Takie jest pierwsze wrażenie w zetknięciu z telewizją. Nauczyciel, który się do tych warunków psychologicznie nie dostosuje, nie będzie miał ani powodzenia, ani osobistego zadowolenia. Z drugiej jednak strony nauczyciel telewizyjny jest bliżej telewizyjnego studenta, niż w normalnej klasie. Odległość między mówcą a słuchaczem jest znikoma. Twarz mówcy jest wyraźna, linie jej widoczne, każde mrugnięcie oka, każdy gest, mimika — są dostrzegalne. Mówca mówi wprost do ucha całą gamą słownej modulacji. Telewizja zapewnia bezpośredni, niemal intymny kontakt między słuchaczem i mówcą. Świadomy takiej telewizyjnej intymności, mówca czuje się bliski słuchaczy.

Powodzenie lekcji telewizyjnej zależy nie tylko od nauczyciela, ale i od warunków i techników, którzy go otaczają. Wchodzą tu w grę różne zjawiska psychologiczne — i kilka uniwersytetów oraz instytucyj badawczych prowadzi w tej dziedzinie ciekawe doświadczenia. Stwierdzono, że są tzw. nauczyciele telegeniczni, ale i nie telegeniczni stają się niekiedy bardzo efektowni, skoro się pozna ich specjalny talent ucznia i skoro się go w odpowiedni sposób „wyłowi".

Telewizyjne nauczanie jest czynnością zespołową, zwłaszcza jeśli program wprowadza klasę z nauczycielem i studentami. Wtedy zadanie nauczyciela jest bodaj że trudniejsze, niż przy solowym programie. Speszony nauczyciel i speszeni uczniowie „zawalą" cały program telewizyjny. Niemałą rolę odgrywa oczywiście zespół techniczny, który np. niewłaściwym użyciem reflektorów może spowodować zamieszanie wśród fotografowanych uczniów. Nauczanie za pomocą telewizji jest dopiero w okresie początkowym, w stadium eksperymentowania; ale już można zauważyć, że rozwój telewizyjnego nauczania wymagać będzie nowego typu nauczyciela, a zatem i nowego rodzaju kształcenia nauczyciela.

3. PROBLEM STUDIÓW WYŻSZYCH

Jak wspomniałem powyżej, niektóre uniwersytety wprowadziły regularne kursy telewizyjne, zaliczane słuchaczom na tych samych zasadach, co zwykłe studia dla uczęszczających studentów. Trzeba od razu przyznać, że nauczyciele uniwersyteccy są raczej konserwatystami i nie są skłonni przyznać kursom telewizyjnym tych samych praw, jakie mają kursy normalne. Szczególnie chodzi tu o przyznawanie tzw. „credits" z odnośnych przedmiotów, które upoważniają do egzaminów. Ta postawa jest zrozumiała, skoro się zważy, że w systemie, stosowanym przez amerykańskie uniwersytety, obecność na wykładach była obowiązkowa. Student jest wyczytywany na każdej godzinie, jak u nas w gimnazjum, i za nieusprawiedliwioną nieobecność grożą kary aż do nieuznania kursu włącznie. Importowani profesorowie z Europy (gdzie nacisk kładzie się na egzaminy, a nie na obecność na wykładach) z tym wyczytywaniem często mają trudości.

Nie wiem, jak ten problem rozwiąże kurs telewizyjny. W każdym razie od studenta telewizyjnego wymaga się tych samych kwalifikacji jak od zwyczajnego studenta oraz osobistego zasiadania do egzaminów. Telewizyjne programy są organizowane na tych samych zasadach jak „university-extensions" (w Anglii „extra-mural education"). Celem sprawdzenia, czy student jest obecny na każdym telewizyjnym wykładzie, projektuje się żądanie nadsyłania do uniwersytetu w krótkich i regularnych od-

stępach czasu krótkich, pisemnych wypracowań. Taka metoda w telewizji byłaby połączeniem metody regularnej klasy uniwersyteckiej ze studium korespondencyjnym. Organizuje się również grupy studentów, którzy gromadzą się wspólnie, by wysłuchać telewizyjnego wykładu. Nie ulega wątpliwości, że przy dalszym rozwoju telewizyjnych wykładów oraz zmniejszeniu oporu ze strony nauczycieli regularnych klas uniwersyteckich, dojdzie do ulepszenia i do standaryzacji telewizyjnego nauczania.

Obecna niechęć profesorów do telewizji jest zapewne spowodowana w dużej mierze psychologiczną obawą ewentualnego bezrobocia. Wielu z nich także twierdzi, że telewizyjne kursy są groźbą dla tradycyjnego życia akademickiego. Obawy te jednakże nie wydają się poważne ,skoro się twierdzi, że telewizyjny uniwersytet nie zmierza do zastąpienia dotychczasowego, regularnego uniwersytetu, ale ma go uzupełnić i pomóc tym, którzy osobiście na wykłady uczęszczać nie mogą. Wydaje się dalej, że prawa regularnego uniwersytetu (no i każdej szkoły średniej) byłyby w pełni zachowane, gdyż kursy telewizyjne trwałyby dwukrotnie czy kilkakrotnie dłużej oraz byłyby ograniczone do pewnych przedmiotów i pewnych stopni akademickich.

4. MASOWOŚĆ A POZIOM

Obecnie około trzystu stacyj telewizyjnych nadaje programy szkolne. Historia tych programów jest krótka, bo obejmuje zaledwie trzy lata, lecz rozrost ich świadczy dobitnie o ich wzrastającym znaczeniu. Programy szkolne się poszerzają, a liczba korzystających telewizyjnych słuchaczy stale wzrasta. Niektóre z tych programów dają już możność pełnego wykształcenia średniego, a nawet zaliczania pewnych kursów uniwersyteckich. Jest to oczywiście jeden z przejawów masowości szkolnictwa i oświaty w ogóle w Stanach Zjednoczonych. Masowość ta powoduje obniżenie poziomu ogólnego, ale pozwala na zdobywanie wiedzy każdemu obywatelowi. Nie ulega wątpliwości, że przy dalszej rozbudowie szkoły telewizyjnej poziom szkoły średniej ulegnie pewnemu obniżeniu, jeżeli nie podejmie się jakiejś reformy, która by pogodziła te dwie, na razie sprzeczne, strony amerykańskiego szkolnictwa: **masowość i poziom.** Już dzisiaj setki profesorów amerykańskich biją na alarm i przestrzegają społeczeństwo przed masowością, a raczej przed obniżającym się poziomem szkolnictwa, przez masowość spowodowanym. Kilka miesięcy temu jeden z wybitnych profesorów Harvard ogłosił sążnisty artykuł o „hordach" studentów, którzy rok rocznie otrzymują bakałarskie dyplomy. Nawet doktoraty, według niego, spadają daleko poniżej europejskiego poziomu.

Wysuwa się zatem pytanie, co wybrać: masowość czy jakość? Pytanie to jest rzeczywiście istotne, chociaż mym zdaniem rozwiązanie właściwe daje nie wybór jednej alternatywy, ale pogodzenie obydwu członów dylematu. Wiele uniwersytetów chełpi się zawrotnymi liczbami studentów. Małe szkoły wyższe ledwie dyszą, choć mają silne moralne poparcie ze strony znakomitych profesorów, którzy wolą małe klasy, niż olbrzymie zgromadzenia, przypominające nowoczesne fabryki tak z wyglądu, jak i z charakteru masowej produkcji. Szkoły średnie wypuszczają absolwentów z rażącymi brakami w podstawowym wykształceniu. Z mego własnego doświadczenia stwierdzić mogę, że nowo wstępujący na uniwersytet uczniowie często nie stoją na poziomie naszej przedwojennej szóstej klasy gimnazjalnej (późniejszej małej matury). Często trzeba ich uczyć ortografii i niemal sylabizowania. Rzecz to nie do pomyślenia na europejskich uniwersytetach! W jednej z mych klas (pierwszy rok) nikt nie wiedział, co to są przypadki deklinacyjne. Trzeba oczywiście dwóch lat na uniwersytecie, by uzupełnić braki szkoły średniej, która rzeczywiście wymaga jak najszybciej reformy. **Stan ten nie jest jednak katastrofą, jak wielu myśli, a tylko objawem przejściowym, spowodowanym masowym pędem do oświaty, za którym nie nadążyła jeszcze przebudowa organizacyjna amerykańskiego szkolnictwa.**

Telewizja ma przed sobą ogromne możliwości oświatowe. Siedząc przy odbiorniku telewizyjnym, jesteśmy pod stałym działaniem wzrokowych i dźwiękowych czynników, które w mniejszym czy większym stopniu pozostawią na nas pewne wrażenie. Pojmując oświatę szeroko, a więc nie jako ściśle ograniczone kursy szkoleniowe w ramach szkolnego programu telewizyjnego, mamy prawo oświadczyć, że telewizyjne programy rozrywkowe mogą nauczyć daleko więcej i daleko trwalej, niż nawet normalne szkoły. Oczywiście, program rozrywkowy musi być umiejętnie włączony w cel oświatowy. Wymaganie to wyszło już poza okres eksperymentalny i znajduje już skuteczne zastosowanie.

Telewizja sprawia że bardzo dobry nau-

czyciel wielokrotnieje, stając do usług całej rzeszy telewizyjnych studentów. Ponad to wszyscy studenci naprawdę siedzą „w pierwszej ławce“, będąc oddaleni od nauczyciela o jeden czy dwa kroki. Niezwykle doniosłą zaletą telewizyjnej oświaty jest to, że nie wymaga ona specjalnych pomieszczeń dla studentów, bo każdy pokój, w którym mieści się odbiornik telewizyjny, spełnia zadanie sali wykładowej. Do tego dochodzi nieograniczony zasięg geograficzny: każdy zakątek kraju może korzystać z tego samego programu w tym samym czasie. Cokolwiek byśmy powiedzieli o telewizji w oświacie, to jedno jest pewne, że **można przez nią uczyć;** a kto ma uczyć, jak i czego uczyć i kogo, odpowie na to tzw. „research“. Badania już się zaczęły i od ich wyniku zależeć będzie sposób i zakres przekazywania wiedzy za pomocą telewizji. Dotychczasowe obserwacje są niezwykle zachęcające. Dowodzą one, że telewizyjne klasy nie są gorsze od regularnych. Jestem pewien, że będą one nawet lepsze, przynajmniej w odniesieniu do pewnych osób i przedmiotów. Wykształcenie humanistyczne ma na pewno wielkie widoki w telewizji, ale i nauki przyrodnicze mogą z niej skorzystać. Jeżeli wiemy dzisiaj o telewizji szkolnej (nie komercjalnej) jeszcze niezbyt dużo to z drugiej strony na pewno telewizja zwykła, odbierana w Stanach przez blisko czterdzieści milionów aparatów, przekazuje swe programy oświatowe w sposób masowy milionom Amerykanów. Obecne programy rozrywkowe, wypoczynkowe, ba, nawet detektywne są niejako pomostem, po którym przeciętny Amerykanin wkracza, choć nieśmiało na razie, w dziedzinę sztuki i nauki, zaczyna rozsmakowywać się w literaturze, historii, psychologii, filozofii i innych dziedzinach wiedzy ludzkiej.

5. WIDOKI NA PRZYSZŁOŚĆ

Końcowa uwaga: telewizja jest jednym z rodzajów tzw. „mass activity“, jest jednym z najbardziej dotykalnych znamion współczesnej kultury. Jakkolwiek byśmy się ustosunkowali do masowości w życiu amerykańskim, musimy przyznać, że na dłuższą metę odrzucać jej nie możemy. Nawet konserwatywna Anglia przyjmuje z wolna wiele cech współczesnego amerykanizmu, choćby nawet w zakresie własnej telewizji. Jestem zdania, że inne kraje zachodnio - europejskie nawet szybciej się amerykanizują, coraz więcej ulegają „mass activity“. Jest ona dynamiczną potęgą z każdego punktu widzenia: politycznego, ekonomicznego, socjologicznego i psychologicznego, a sądzę, że i religijnego.

Co więcej, „masowość“ jest potężną bronią przeciw naporowi ze wschodu. Z ironią trzeba stwierdzić, że komunistyczna Rosja masowość czynu i produkcji również uważa za środek do celu, choć Ameryka ją w tym przewyższa. Zachodzi zatem pytanie, jaka jest różnica między dwiema zwalczającymi się potęgami? Istotna, bo ideologiczna, kulturalna. Wschód, na falach masowości, chce narzucić światu — jak powiedział Ojciec Święty w swym przemówieniu świątecznym — swoją antyzachodnią kulturę. Ameryka natomiast, zdobywając świat, nie niszczy, ale wchłania tysiące lat zachodniej kultury. W tym procesie telewizja, — a każda telewizja, nawet komercjalna, jest do pewnego stopnia oświatowa — odegra doniosłą rolę.

A. CZ.

UWAGI O POPRAWNOŚCI JĘZYKA[2]

Mówiąc o zasadniczym i ze wszech miar godnym uznania dążeniu do poprawności języka ze stanowiska interesów narodowych, należy rozstrzygnąć wątpliwość, czy nie stoi ono w sprzeczności z naturalnym rozwojem języka.

Zmienność przeciętnych norm języka narodowego jest wynikiem przekształceń, które odbywają się w poczuciu językowym poszczególnych jednostek. Podstawą procesów językowych w językach indywidualnych jest, jak już wspomniałem, tak zwane poczucie językowe, czyli zmechanizowany, działający automatycznie, bez udziału woli w świadomości człowieka system skojarzeniowy. Z reguły mówimy prędko i bez zastanowienia, nie zatrzymujemy się nad doborem form i zwrotów, którymi się posługujemy, nie zwracamy uwagi na sposób wymawiania poszczególnych dźwięków. Cały proces mówienia lub myślenia językowego przebiega automatycznie, poza udziałem naszej świadomości.

Ze stosunku, jaki w języku ogólno - narodowym zachodzi między językami indywidualnymi, wynika, że język literacki two-

rzy się na podstawach automatycznych. Język w swym rozwoju naturalnym zależny jest od czynników, leżących poza wolą i świadomością ludzką. Czy wobec tego świadomy stosunek do języka, wyrażający się w dążeniu do pielęgnowania norm języka, uznanych za poprawne, nie pozostaje w sprzeczności z naturalnym rozwojem języka?

Sprzeczność jest tylko pozorna. Istotnie, ewolucjonizm starej daty w nieświadomych procesach automatycznych widział podstawę nie tylko zjawisk świata przyrodniczego, lecz również i życia społecznego, a w nim także zjawisk językowych, — lecz pogląd ten grzeszył jednostronnością. Mimo, iż rozwój społeczny w dużej mierze określają czynniki niezależne od świadomej swych dążeń woli ludzkiej, to jednak człowiek nie może pozostawać biernym widzem wobec życia. Chcąc nie chcąc musi on zajmować postawę czynną i oceniać ze stanowiska swych potrzeb najróżniejsze przejawy życiowe. Co więcej, to wartościowanie zjawisk życia, dokonywane ze stanowiska potrzeb i interesów jednostek i całych grup społecznych, samo z czasem staje się dźwignią postępu społecznego. Widzimy więc, że rozwój zjawisk społecznych, a wśród nich i zjawisk językowych, nie jest procesem całkowicie automatycznym, prócz bowiem czynników od woli ludzkiej niezależnych działa w nim również uświadomione wartościowanie życia społecznego.

Wynika stąd wniosek, że troska o poprawność języka jest objawem nie tylko uczuciowo, ale i teoretycznie uzasadnionym. Trzeba tu jednak podkreślić, że z chwilą kiedy język staje się nie tylko zależnym od czynników obiektywnych, działających poza wolą ludzką, lecz również od subjektywnego wartościowania pewnych jego postaci, — staje się on do pewnego stopnia zjawiskiem sztucznym, bo wytworzonym przez świadomie działającą wolę ludzką. Naturalny rozwój języka możemy obserwować tylko w grupach ludzi, stojących na niskim szczeblu życia społecznego.

Język, kultywowany, język środowiska kulturalnego, z mniejszą lub większą świadomością odnoszący się do zjawisk językowych, jest zawsze do pewnego stopnia sztucznym. Taki jest język piśmiennictwa, to znaczy język literacki. Jest on wytworem mieszaniny pierwiastków sztucznych i naturalnych i zajmuje miejsce pośrednie między gwarami a językami sztucznymi, jak np. esperanto.

Stwierdziliśmy zatem fakt, że u podstawy języka literackiego leżą 1) procesy automatyczne 2) świadome swych celów usiłowania ludzkie. Rola ich w historii języka jest odmienna. Czynniki nieświadome przyśpieszają zmiany językowe, czynniki świadome wywierają na nie wpływ hamujący. Czynniki automatyczne mają swą podstawę w skojarzeniach wyobrażeń językowych poszczególnych jednostek, ulegają ciągłym zmianom, wywołując tym samym zmiany w poczuciu językowym, które tym silniej utrwalają się, im mniej możemy świadomie im przeciwdziałać.

Inaczej rzecz ma się z czynnikami świadomymi. Z chwilą, gdy do faktów językowych zaczynamy stosować jakąś ocenę, gdy za poprawną uważamy pewną, ściśle określoną normę językową, wówczas, rzecz oczywista, powstaje dążenie do zachowania tej normy. Siła działania czynnika zachowawczego pozostaje w stosunku proporcjonalnym do kultury narodowej; im wyższa jest kultura narodowa, tym silniejsze jest działanie świadomej oceny faktów językowych. Stąd też język społeczeństw, stojących na wyższym szczeblu kultury, ulega znacznie mniejszym zmianom, niż język ludów, pozostających na niższym poziomie kulturalnym. Nie znaczy to, aby nie zmieniał się zupełnie. Chcąc to osiągnąć, musielibyśmy przerwać działanie czynników nieuświadomionych. Jest to w normalnych warunkach niemożliwe, chyba, że język wychodzi zupełnie z użycia i staje się językiem martwym, jak sanskryt lub łacina. Dopóki język nie przestaje być żywym środkiem porozumiewania się między ludźmi, dopóty ulega zmianom, wprawdzie powolnym, ale stałym.

Jakież z tego faktu należy wyciągnąć wnioski? Jeżeli pielęgnowanie języka i dążenie do jego poprawności nie może bezwzględnie zahamować naturalnego rozwoju języka, to na czym ma polegać nasz świadomy stosunek do języka literackiego? Wydaje się, że możliwa jest tylko jedna rozsądna odpowiedź. Nasz świadomy stosunek do języka literackiego polegać powinien jedynie na zwracaniu rozwoju językowego we właściwe łożysko, na nadawaniu nieuchronnym zmianom odpowiedniego kierunku. Język ulega zmianom. Ze zjawiskiem tym walczyć nie mamy ani możności, ani potrzeby. Chodzi tylko o to, aby rozwój językowy odbywał się zgodnie z duchem języka, a więc nie stał w sprzeczności z przeciętnym poczuciem językowym, panującym w danej społeczności. Osiągniemy to wówczas, gdy do mowy

swej nie będziemy wprowadzali elementów obcych, nie wiążących się bezpośrednio z systemem skojarzeniowym wyobrażeń językowych polskich.

Dlatego w dbałości o poprawność języka powinniśmy się troszczyć głównie o zachowanie czystości języka, to znaczy tolerować w jego naturalnym rozwoju tylko te zmiany, które dokonały się na gruncie wyobrażeń językowych swojskich. Jeżeli np. zamiast dawniej używanego zwrotu „dopominać się czegoś" — i dziś jeszcze spotykanego — mówimy „dopominać się o coś", to zwalczanie tej zmiany byłoby dążeniem nieuzasadnionym, gdyż powstała ona na gruncie wyobrażeń językowych polskich. Przyczyną jej było przeniesienie czasownika „dopominać się" z kategorii „domagać się", „żądać", „pragnąć czegoś" do kategorii znaczeniowej cza czeniowej czasowników „prosić", „starać się o coś". Posługiwanie się natomiast zwrotem „śmiać się nad kimś" zamiast „śmiać się z kogoś" należy zwalczać, gdyż źródło jego leży w systemie języka obcego.

Nasza troska o czystość języka nie powinna jednak popadać w śmieszną manię przesadnego puryzmu. Nikt nie potrafiłby usunąć z własnego języka wszystkich pierwiastków obcych. Język jako wytwór kultury narodowej odzwierciedla wpływy, którym ona w ciągu wieków ulegała. Każdy naród pozostaje w stosunkach kulturalnych z innymi narodami, co wyraża się m.in. również w przenikaniu pierwiastków obcych do języka. Chcąc zatrzeć wpływy obce w naszym języku, musielibyśmy usunąć z naszego słownika takie wyrazy, jak „pacierz" (łac. pater), „hańba" (czes. hańba), „hejnał" (węg. hajnak) i niezliczone krocie innych. Z całą surowością należy jednak tępić wprowadzanie do języka wyrazów obcych (najczęściej przez lenistwo lub snobizm) tam, gdzie możemy posłużyć się wyrazami swojskimi.

Najwięcej wykroczeń przeciw czystości języka pojawia się na gruncie składniowym. Wystrzeganie się barbaryzmów składniowych jest rzeczą znacznie trudniejszą, niż zachowanie czystości w zakresie słownictwa. Dlatego też zabiegi nasze koło zachowania poprawności językowej winny być skierowane głównie w te stronę. Składnia i frazeologia nadają językowi charakterystyczne, odrębne od innych, piętno psychologiczne.

Mówiąc o czystości języka literackiego wspomnieć należy o jego stosunku do gwar. Stosunek ten ze stanowiska psychologicznego jest taki sam, jaki zachodzi między językiem ojczystym, a językami obcymi. Ze stanowiska historycznego rzecz przedstawia się o tyle inaczej, że stosunek genetyczny między językiem literackim a gwarą jest bliższy, niż między językami obcymi, których związki, o ile można je naukowo uzasadnić, sięgają znacznie dalszej przeszłości.

Sumując wyniki dotychczasowych rozważań możemy stwierdzić, że poprawność językowa i wiążąca się z nią czystość językowa są pojęciami względnymi a gdzie panuje względność w ocenie faktów, muszą powstawać wątpliwości. Kto jest powołany do rozstrzygania wątpliwości? Czy powołane do tego celu akademie i wydawane pod ich egidą gramatyki normatywne? W dużej mierze tak, lecz najwyższym sędzią pozostanie chyba ogół mówiących, a więc ci, którzy są naprawdę twórcami języka, a wśród nich wielcy mistrze słowa, którzy, dzięki potężnej organizacji duchowej, narzucają ogółowi swój język indywidualny.

Znaleźliśmy więc pewne granice, w których rozciąga się pojęcie poprawności językowej: poprawne jest to, co zostało uświęcone przez powszechny zwyczaj i co jako wzór zostało podane przez wybitnych pisarzy współczesnych.

WIESŁAW WOHNOUT

W OCZACH PROWINCJI

Los zrządził, że ubiegły rok spędziłem na prowincji.

Przyjechawszy więc po raz pierwszy do nowego miasta odszukałem rodaka od dawna w nim mieszkającego, aby — jak się to mówi — zasięgnąć języka.

O nowych miastach, jak o nowych ludziach, lubimy coś wiedzieć. Tak niby: kto go rodzi, skąd pochodzi.

— Cóż z tego, — zrzędzi mój rodak — że tu kiedyś podobno bywał nawet Juliusz Cezar, kiedy dzisiaj okropna prowincja.

Gdy kwituję to jego stwierdzenie jakimś nieokreślonym ruchem ręki, że niby wiadomo, iż cała Anglia to wielka prowincja — zapala się i poczyna dowodzić:

— No, niech pan pomyśli, na przykład moja landlady. Kupiłem sobie bilet na Małcu-

żyńskiego do Albert Hall'u, a pech sprawił, że dostałem grypy. Więc, widzi pan, chciałem się zrewanżować za różne uprzejmości i podarowałem bilet mojej gospodyni. Przyjęła go z wahaniem. Myślę, pewnie nie wie, kto to Małcużyński, ale ostatecznie Angielka, trudno mieć o to pretensję. Wie pan, co się okazało? Że nie wie także, gdzie jest Albert Hall . . .

Machnął rękę z zupełną determinacją: — kompletna prowincja.

Stanęła mi jak żywa w oczach scena sprzed wielu lat. Tytus Czyżewski, wybitny niegdyś malarz, poeta i teoretyk sztuki, który szereg lat mieszkał we Francji, lubił opowiadać o prowincjonaliźmie Paryża. Prowincjonalizm i Paryż! Nam, wówczas młodym i nie znającym świata wydawało się to paradoksem.

— Razu pewnego — opowiadał pan Tytus — dostałem od mojego przyjaciela - malarza bilet wstępu na przedstawienie w Folies Bergère. Mieszkałem wtedy przy Pigalle, parę kroków od tej budy. Wypadło mi coś tego wieczoru, dość, że nie mogłem wykorzystać biletu. Postanowiłem przeto podarować go mojej gospodyni, której zresztą zalegałem z komornym . . . Przyjęła bilety zdziwiona i wyraźnie nieufna.

— Folies Bergère — powtarzała — a co to jest? Kino? Opera komiczna? Teatr?

— Mieszkała czterdzieści lat przy Place Pigalle! — zaśmiewał się pan Tytus ze swej paryskiej prowincjałki.

Nie była ona wyjątkiem. Znacznie później, przewędrowawszy kawał świata i obejrzawszy sobie już z bliska sporo ludzi, zmieniłem stosunek do tego typu zjawisk. Człowiek wszędzie żyje na prowincji. Wszędzie jego środowisko jest ograniczone w przestrzeni i zamknięte w kręgu społecznych powiązań. Istnieje, rzecz prosta, wiele dróg, prowadzących poza te środowiskowe ograniczenia, a tzw. awans społeczny byłby bez nich niemal nie do pomyślenia. Ta jednak droga, która z Polski doprowadziła nas na wyspę (czy gdziekolwiek indziej), nie była socjologicznie prosta. Nie wybieraliśmy sobie najczęściej ani miejsca zamieszkania, ani zawodu, w którym pracujemy. To wzmaga poczucie obcości.

Przyszedłszy w ścisłym tego słowa znaczeniu z „ szerokiego świata", odczuwamy tym silniej prowincjonalizm naszych obecnych miejsc zamieszkania. Niczym pan Tytus i niczym mój znajomek z miejscowości X, skłonni jesteśmy znajdować przyjemność w pokpiwaniu z ograniczonych horyzontów autochtonów.

Najczęstsza skarga brzmi mniej więcej tak: „Ach! ta prowincja! Zarobki, wie pan, nawet nie są złe, mieszkania także są tańsze niż w Londynie. Ale — można umrzeć z nudów na tej angielskiej prowincji.

Czy tylko angielskiej?

Przed wojną w Polsce 75% ludności żyło na wsiach. Przy nikłym zurbanizowaniu naszej ojczyzny, przy stosunkowo rzadkiej i nierównomiernie rozłożonej sieci komunikacyjnej, ogromna większość z nas żyła „na prownicji" nierównie bardziej prowincjonalnej niż jakikolwiek zakątek w tym kraju. I dziś nie jest inaczej. Wystarczy wziąć do ręki jakąkolwiek gazetę krajową, by znaleźć w niej stałe narzekania na odcięcie polskiego miasteczka (o wsiach już w ogóle nie mówiąc), od nurtu życia intelektualnego, tętniącego podobno w miastach.

Zjawisko dążenia do miasta (ściślej do **dużego** miasta) jest cechą obserwowaną przez socjologów z górą od wieku. Nie tu miejsce, aby zagadnienie to szerzej analizować. Wystarczy, jeżeli stwierdzimy, że zaniknięcie różnic pomiędzy wsią a miastem nie jest w naszym okresie cywilizacyjnym prawdopopodobne. Inny natomiast postulat, leżący całkowicie w granicach możliwości, stawiają sobie urbaniści: rozładowania wielkich miast i decentralizacji zarówno życia gospodarczego, jak i kulturalnego. Czyli — używając przenośni literackiej — kopciuszek ma się przeistoczyć w królewnę: **przyszłość należy do prowincji.**

Tak jest przynajmniej na tej wyspie. Wystarczy przebyć sto mil pociągiem, aby dostrzec wyraźne ślady realizacji tego wielkiego planu. Wszędzie wyrastają nowoczesne budynki przemysłowe, a w rozsądnej odległości od nich nowe, standaryzowane osiedla. Zapewne, standard jest zmorą dla nas, indywidualistów. Jest jednak czymś nieuchronnym i tak oczywistym, jak pasteryzacja mleka. Indywidualny wyraz w tych nowych, standaryzowanych angielskich osiedlach posiadają natomiast parki. Podobno cała wieś angielska jest jednym wielkim parkiem. Zapewne sporo przesady jest w tym uogólnieniu, natomiast pewne jest, że każde nowe osiedle w tym kraju zabezpiecza sobie dostateczną przestrzeń zieloną i owa gospodyni mojego rodaka z miejscowości X., która nie wie, gdzie mieści się Albert Hall, wskaże na pewno nieomylnie najbliższy zieleniec . . .

Na tym właśnie zieleńcu w pierwsze sobotnie popołudnie w moim nowym miejscu za-

mieszkania prowadzę dalszy wywiad na temat angielskiej prowincji.

— Rodacy? Jest ich sporo. Około półtora tysiąca na 15-milowym odcinku wybrzeża. (Miejscowość X., w której spędziłem ubiegły rok, leży nad morzem). Organizacje polskie? Są, oczywiście. Kościół? Jest, parafia polska także.Książki? Zabawy? Życie towarzyskie? Książki — tak, dociera zestaw Centrali Bibliotek Ruchowych, czyta się także, a nawet kupuje liczne książki beletrystyczne i wydawnictwa o typie albumowym, ukazujące się w kraju, (np. monumentalny „Ołtarz Mariacki" Wita Stwosza).

Zabawy — dwa, trzy razy do roku — gromadzą około setki osób. Kościół polski co niedzielę — około stu pięćdziesięciu. Szkółka polska przy parafii — kilkanaścioro dzieci. Cyfry, jak widzimy, niezbyt imponujące, ale świadczące o pewnej więzi społecznej. O pewnym ciążeniu ku sobie członków polskiej gromady.

Najgorzej jest z tak zwanym życiem towarzyskim. **Polacy narzekają na prowincjonalizm angielski, zarazili się nim widocznie.** Właściwie tyle „prowincji", ile polskich rodzin. Wysiłek pracy zarobkowej, wielka i skądinąd chwalebna dążność do oszczędzania i dorabiania się, absorbują, zdawałoby się, już w 100% naszą zdolność do aktywności. Krótkie godziny wieczorne, które pozostają po pracy, i to nie zawsze, bo Polacy polują na „over-time'y", wypełnia — powiedzmy to szczerze — raczej kino, niż spotkanie z rodakami.

Czyżby więc, narzekając na angielski prowincjonalizm, nie należało zacząć od — siebie? Bo czy ten prowincjonalizm jest **tylko** angielski?

POMOC DLA NAUKI

W miesiącu lutym 1946 r. odbędzie się w W. Brytanii i innych krajach europejskich (a w terminach późniejszych w innych krajach polskiego osiedlenia) zbiórka publiczna na potrzeby polskiego szkolnictwa wyższego i nauki polskiej na obczyźnie, organizowana przez Fundusz Oświaty Polskiej Zagranicą przy współpracy i poparciu innych organizacji społecznych, ze Stowarzyszeniem Polskich Kombatantów na czele.

Bezpośrednim celem zbiórki jest pomoc trzem placówkom polskiej nauki i nauczania wyższego w wolnym świecie: Polskiemu Towarzystwu Naukowemu, Polskiemu Uniwersytetowi na Obczyźnie oraz Szkole Nauk Politycznych i Społecznych.

Polskie Towarzystwo Naukowe, reprezentujące niezależną polską naukę wobec jej skrępowania w Kraju, organizuje i ułatwia naszym uczniom ich prace badawcze.

Polski Uniwersytet na Obczyźnie oraz Szkoła Nauk Politycznych i Społecznych prowadzą wykłady i kursy korespondencyjne, dążące do wykształcenia pewnego zastępu polskiej inteligencji w oparciu o wzory zachodnie, w atmosferze wolności nauki i nauczania, której brak tak bardzo ciąży dziś nad życiem naszego Kraju.

Te wielce pożyteczne placówki są w naszym życiu emigracyjnym zjawiskiem nader pożytecznym; ich dalsze istnienie i rozwój winny stać się wspólną troską całego patriotycznego uchodźstwa. Zadanie zmobilizowania na ten cel ofiarności publicznej w drodze zbiórki powszechnej wziął na siebie Fundusz Oświaty Polskiej Zagranicą.

W W. Brytanii zbiórka odbywać się będzie w ciągu całego miesiąca lutego z tym wszakże, że główne jej nasilenie przypadnie na trzecią sobotę i niedzielę tego miesiąca, tj. na dnie 18 i 19 lutego b.r. W dniach tych odbywać się będzie zbiórka puszkowa we wszystkich polskich lokalach, zaś w dniu 19 lutego (niedziela) również przed kościołami i kaplicami po polskich nabożeństwach, na co Zarząd Funduszu uzyskał zgodę kompetentnych władz duchownych.

Akcja zbiórkowa obejmuje nie tylko W. Brytanię, lecz i inne kraje polskiego osiedlenia, w których odbywać się będzie bądź w ciągu miesiąca lutego, bądź w innych terminach, zależnie od lokalnych warunków.

Niezależnie od akcji zbiórki publicznej, Zarząd Funduszu zwrócił się z prośbą o datki indywidualne do tych osób, które mają zrozumienie dla wagi polskiego szkolnictwa wyższego i nauki polskiej na obczyźnie, a zarazem znajdują się w nieco lepszej od przeciętnego poziomu sytuacji materialnej.

Wszelkie ofiary na wyżej wspomniany cel należy kierować do Funduszu Oświaty Polskiej Zagranicą (42, Emperors Gate, London, S.W.7). Czeki i Postal Ordery należy wystawiać na „Foundation for Polish Education Abroad" (angielska nazwa Funduszu). Można je też przekazywać bezpośrednio na rachunek bankowy Funduszu w Lloyd's Bank (South Kensington Branch) Malvern Court, Onslow Square, London, S.W.7.

WIECZORNICE

materiały i pomoce

ALEKSANDER FREDRO

ZRZĘDNOŚĆ I PRZEKORA

KOMEDIA W JEDNYM AKCIE, WIERSZEM

OSOBY:
Pan Jan Zrzęda,
Pan Piotr Zrzęda,
Zofia, synowica panów Zrzędów,
Lubomir,
Lokaj.

Rzecz dzieje się na wsi w majętności Zofii.

SCENA I.

Teatr przedstawia pokój.

PAN JAN, PAN PIOTR:
Słychać mocne dzwonienie na lewo i prawo.
PAN JAN (po prawej stronie pokoju): Jest tam kto?
PAN PIOTR, (po lewej stronie pokoju): Hej! jest tam kto!
PAN JAN: Głosu mi nie staje!
PAN PIOTR: To służba!
OBYDWAJ (krzyczą): Jest tam który?
(wypadają z gabinetów; lokaj ze środkowych drzwi).
PAN PIOTR: Łajdaki!
PAN JAN: Hultaje!
Cóż to, czyście pogłuchli! I krzyczę [i dzwonię,
Aż mi język odrętwiał, aż mi spuchły [dłonie...
Gdzie... po co... dokąd, lata: i jeden [i drugi?
Wszyscy są do zapłaty, nie ma do usługi!
Już ja was do porządku doprowadzić [muszę,
Ale aż z was każdemu dobrze karku [wzruszę.
PAN PIOTR (mówiąc powoli): A że też, panie [Janie, zrzędzisz jak najęty,
Jeszczem u ciebie gęby nie widział [zamkniętej.
PAN JAN: A pan brat niemy? nigdy, nigdy [już nie gada
Ani słówka?
PAN PIOTR: I owszem, gdy mówić wypada.
PAN JAN: Gdy się kłócić wypada, dokuczyć, [sprzeciwić;
Bo cóż to może szkodzić, co to może dziwić,
Że za niepilną służbę służącego łaję?
By siedzieli kamieniem, na to są lokaje.
Musiałem wprzód ochrypnąć, nim usłyszeć [raczył,
Chciałem go właśnie posłać, byś chwilę [naznaczył,
W której byśmy raz mogli rozmówić się [z sobą;
Niechaj napróżno doba nie mija za dobą,
Niech nasza synowica już dłużej nie czeka,
A zwłaszcza, niech się skończy ta nudna [opieka.
PAN PIOTR: Przyszedłem, jestem, słucham; [o cóż ci więc chodzi?
Czegoż sobie krew psujesz, jeszcze ci [zaszkodzi.
PAN JAN: O! i u pana Piotra żółci jest [niemało.
Mówię biało, on czarno; ja czarno, on biało,
I tak prawie od wschodu do zachodu słońca
Nigdy kłótnie nie mają między nami końca.
Już dalej żyć nie mogę w nieustannej [wojnie,
Chcę być panem, nie sługą i rządzić [spokojnie.
Ach, nimem tu przyjechał, bodajem kark [skręcił!
PAN PIOTR: Dzień, w którym tu stanąłem, [bodaj się nam święcił!
PAN JAN: Mój luby, słodki bracie, powiedże [mi proszę,
Jakież tu masz uciechy, jakie masz [rozkosze:

Dla nieznośnej opieki w cudzym domu
[siedzieć,
Pannę, jak ochmistrzynie pilnować,
[strzec, śledzić.
Na co, po co, dlaczego? niechże mi kto
[powie,
Dlatego, że waćpanu ubrdało się w głowie,
By moja synowica nie była w mym domu.
PAN PIOTR: Nadanej współopieki nie
[zwierzę nikomu;
Zofia nie potrzebuje zakosztować miasta,
Gdzie, im dłużej się bawi, chęć bawienia
[wzrasta.
Cóż tam w rzeczy dobrego nauczyć się
[może?
Szukać uciechy w zbytkach, a chwały
[w ubiorze,
Gadać, prawić bez celu, oczkiem wabić
[skrycie
I o niczym nie myśleć przez całe swe życie.
Nie, tego znać nie będzie nasza synowica:
Cnotą skromną, lecz trwałą niech duszę
[zaszczyca,
Niech czczymi próżnościami nie zaprząta
[głowy,
Niech umie cenić marność i spokój domowy
I na wsi podług stanu niech męża wybierze.
PAN JAN: Na mnie pewnie Zofija spuści się
[w tej mierze.
PAN PIOTR: W tej mierze na waćpana
[wybór nie zezwolę.
PAN JAN: Czemu?
PAN PIOTR: Bo zły.
PAN JAN: Wszak nie wiesz.
PAN PIOTR: I nie wiedzieć wolę.
Wiem tylko, że we wszystkim chcesz
[stanowić prawa;
Stąd zawsze gdzie ty jesteś, te kłótnie,
[ta wrzawa;
Lecz i ja też czasami chcę mieć moje zdanie,
Nie wszystko zatem tutaj na twoim się
[stanie
I jeśli cię opieka tak trudzi, tak dręczy,
Jedź, wracaj...
PAN JAN: A braciszek chętnie mnie wyręczy,
Sam będzie rządzić! dobrze wyszukał to
[w głowie!
Pojadę, lecz los Zosi pierwej postanowię!
PAN PIOTR: Póki ty tu, nic z tego, żebyś
[o tem wiedział.
PAN JAN: Ty mnie tu nie przesiedzisz, będę
[sto lat siedział!
(siadają).
LOKAJ: Mam czekać?
PAN JAN: Idź do diabła!
PAN PIOTR: Czekaj!
PAN JAN: Niech więc czeka;
Lecz na cóż masz daremnie udręczać
[człowieka?
Czyż mu nie wolno zrobić i jednego kroku,
Ma-że wciąż jak niewolnik stać przy twoim
[boku?
Nie dość-że już nieszczęścia, że musi mieć
[pana,
Trzebaż jeszcze, by zawsze widział w nim
[tyrana?
Ach, wolałbym pług ciągnąć, jak służyć
[u zrzędy,
Który tylko we wszystkim na siebie ma
[względy,
Który...
PAN PIOTR: Lecz, panie Janie, zrzędzisz
[nadaremno.
Służący mi potrzebny i już idzie ze mną.
(Pan Piotr odchodzi z lokajem).

SCENA II.

PAN JAN: Zrzędzisz! proszę, ja zrzędzę!
[brawo, to mnie bawi!
Ja zrzędzę! Nie, już nigdy świat się nie
[poprawi,
Wszak takich jak braciszek, posiada bez
[miary,
Co liczą chęć poprawy pomiędzy przywary.
Niech mi żona mniej gada, córki mniej się
[stroją,
Niech mnie słucha rodzeństwo, synowie
[się boją;
Niech sługa wierny, trzeźwy, zważny na
[me słowa,
Swojej służby pilnuje, a mego nie chowa,
Słowem, niech wszystko idzie, jak chcę
[i ułożę,
A nigdy nie połaję, — gęby nie otworzę!

SCENA III.

PAN JAN, ZOFIA.

ZOFIA: Miałabym małą prośbę...
PAN JAN: Fe, to wstyd dla Zosi,
Wstyd zawsze dla panienki, kiedy o co
[prosi:
Proszona być powinna panna znakomita;
Ale każda z was dzisiaj o to się nie pyta,
Czy to tak skromnie, ładnie, czy to tak
[przystoi,
I starego panieństwa jedynie się boi,
A gdy duży majątek obejmie przed
[czasem,
Zaraz piskliwy szpaczek zacznie śpiewać
[basem.
Przypatrz się której: nożka naprzód,
[nosek w górę,

Wie pewnie, jak to mężom podnoszą
[fryzurę,
A przy tym są ciekawe, złośliwe, uparte...
Słowem, żeście wraz wszystkie nic a nic
[nie warte.
(odchodzi).

SCENA IV.

ZOFIA, LUBOMIR.

LUBOMIR: Jakiż, piękna Zofio, twojej
[prośby skutek?
ZOFIA: Znikły nasze nadzieje, został tylko
[smutek;
Nawet mnie stryj nie słuchał, łajał mnie
[przed czasem,
Ganił szpaki w fryzurach i odszedł
[z hałasem.
LUDOMIR: Przecież coś odpowiedział?
ZOFIA: Nic, nic, ani słowa!
Dobrze była w mej głowie ułożona mowa,
Chciałam wszystko wystawić rozsądnie,
[dokładnie:
Że długo nie iść za mąż dla panny niełądnie,
I że... że... pan Lubomir pokochał mnie
[szczerze...
LUBOMIR: I zawsze kochać będzie...
ZOFIA: I że temu wierzę;
Więc kiedy mam chęć dobrą i zdatność
[po temu,
Trzeba zadość uczynić żądaniu naszemu.
Lecz cóż! stryjaszek wszystko łajaniem
[pokrywa!
(zaczyna płakać).
Ja już nie wiem, co pocznę dalej
[nieszczęśliwa:
Jeden z drugim się kłóci, a mnie uciemięża;
Nie wiem co to im szkodzi, abym miała
[męża.
O Boże! dobry Boże! co to z tego będzie!
Że już mam rok szesnasty, mówią o tym
[wszędzie.
Za każdą moją wolę odbieram naganę,
A czas mija... i w końcu... i w końcu
[zostanę...
(szlochając).
Starą panną...
LUBOMIR: Zofijo! umiem te łzy cenić,
Lecz się uspokój, nasz los musi się
[odmienić:
Stryjowie bez wątpienia przy końcu
[zezwolą,
Jeżeli twoje szczęście nad swój upór wolą,
A posądzić ich nie chcę o myśli niegodne.
Nasze majątki równe, nasze serca zgodne.
Żadne więc mych zamiarów sprzeczności
[nie wzruszą
I nie dzisiaj, to jutro spełnione być muszą.
ZOFIA: Wcale mnie nie pociesza ten widok
[daleki.
LUBOMIR: Przecież się z czasem kończą
[najdłuższe opieki.
ZOFIA: Ach ja bardzo nie lubię na
[cokolwiek czekać,
Ale są tacy... o są..., co lubią odwlekać.
LUBOMIR: Ach, całe szczęście moje w tej
[złożone dobie,
W której przysięgnę kochać, żyć wiecznie
[przy tobie,
I możesz ty postrzegać obojętność we
[mnie?
Z tamtym stryjem mówiłem.
ZOFIA: I pewnie daremnie.
LUDOMIR: I owszem.
ZOFIA: Owszem? jak to? więc się już
[nakłania?
LUDOMIR: Swoim świętym zwyczajem
[zaczął od łajania.
Kłócił się, choć milczałem, a gdy wyrzekł
[słowo,
Przeciwnych sto dowodów leciało na nowo.
I już myślałem odejść, ujść tego zapału,
Gdy przecie w końcu zaczął ostygać
[pomału
I przyrzekł prawie...
ZOFIA: Prawie!
LUBOMIR: ...ziścić nasze chęci.
Chciałem nawiasem, niby dla lepszej
[pamięci,
(pokazując papier)
Aby nam to podpisał prawne zezwolenie,
Bo zawsze wolę pismo, choć i słowo cenię.
Ale...
ZOFIA: Ale...
LUBOMIR: Odłożył na wolniejszą chwilę.
ZOFIA: Na nic więc zeszło kłótni i gadania
[tyle.
LUBOMIR: Nie, wszak nie potrzebuje
[i pewnie nie zwodzi,
O drugie zatem tylko zezwolenie chodzi.
Idź, Zofijo najdroższa, błagaj swego stryja,
Kocha cię niezawodnie, bo któż ci nie
[sprzyja?
Nie będzie więc nieczułym na twoje
[żądanie
I szczęście nas obojga spełnionem zostanie.
Na wszystkie jego słowa bądź na chwilę
[głucha,
Powiedz...
ZOFIA: Wiem, co mam mówić, jeśli mnie
[posłucha.
LUBOMIR: Któż by twego boskiego nie
[chciał słuchać głosu.
Pewnie więc dobre zyskasz rozstrzygnięcie
[losu;

Ja zaś w czas należyty drugiego sprowadzę,
A jeśli się nie uda, i temu zaradzę.
(odchodzi).
ZOFIA (sama): Żeby mi też kto mądrze
[wytłumaczył przecie,
Na co się opiekuny przydadzą na świecie?
Dla płochych dzieci jeszcze, bo te mogą
[błądzić;
Ale dla mnie!... Ja sama potrafię się
[rządzić;
Nie potrzebuję, nie chcę w niczym mieć
[zawady,
Nikt by mi, gdybym chciała, nie dał tutaj
[rady.
Ach, stryj!...

SCENA V.

ZOFIA, PAN JAN.

PAN JAN: Czegóż waćpanna stoisz, jak
[na straży?
Pewnie jakiś koncepcik po głowie się
[marzy.
Ale muszą złe myśli błądzić po rozumie,
Kiedy kto się czym dobrym zatrudnić
[nie umie;
Wtedy z kąta do kąta włóczy się i ziewa
I patrzy, kto odchodzi, albo kto przybywa.
Czegóż waćpanna żądasz, czy dzisiaj
[usłyszę?
Przerwijże już łaskawie świątobliwą ciszę;
Nie lubię tej pokory, milczenie mnie nudzi.
ZOFIA: Boję się...
PAN JAN: Cóż to znowu, czym straszydłem
[ludzi?
Od jakiegoż to czasu tak strasznym
[zostałem?
Kiedyż pannie Zofiji powód strachu
[dałem?
Możem się nie dość umiał jej piękności
[dziwić?
Możem się jej układom ośmielił
[sprzeciwić?
ZOFIA: Ach nie...
PAN JAN: Skromność, lękliwość piękne
[w płci niewieściej,
Lecz czasem w tym układzie i chytrość się
[mieści.
O znano już niejedną z tak chytrym
[pozorem,
Co była trusią z rana, a lwicą wieczorem.
Jednak raz jeszcze pytam, bo chcąc
[odpowiedzieć,
O co rzecz idzie, muszę, muszę przecież
[wiedzieć?
ZOFIA: Chciałabym pójść... pójść...
PAN JAN: Dokąd! co? gdzie? mów potrosze.
ZOFIA: Pójść za mąż.
PAN JAN: Czy tak pilno?
ZOFIA: O, i bardzo!
PAN JAN: Proszę!
Pójść za mąż bardzo łatwo!
ZOFIA: Ach stryjaszku drogi,
Nie ma nic łatwiejszego, bez najmniejszej
[trwogi.
PAN JAN: Księdza kazać zawołać, da
[błogosławieństwo,
Goście się zjadą, spiją, i będzie małżeństwo.
(Zofia biegnie z radością ku drzwiom).
Gdzież?
ZOFIA: Po księdza proboszcza!
PAN JAN (z ironią): Już go zamówiono.
Ale wiesz też waćpanna, co to jest być
[żoną?
ZOFIA: O, wiem, trzeba być dobrą i kochać
[potrzeba.
PAN JAN: Przy dobroci, miłości, potrzeba
[i chleba,
Trzeba to, co posiadasz, wiedzieć, komu
[zwierzyć
I trzeba przed ołtarzem całą przyszłość
[zmierzyć.
Ale to wszystko u was godnym
[pośmiewiska:
Być panią, mieć dom własny, odmienić
[nazwiska,
Wyrwać się spod opieki, wstrętem płacić
[za tę,
W mieście tracić w kwartale dwuroczną
[intratę
Na balach, jak mężatka zaczynać mazury,
Na mężczyzn patrzeć śmiało, a na panny
[z góry,
W modnych fiokach z ulicy latać na ulicę,
Wzbudzając zazdrość, gnębić swoje
[rówiennice,
Mieć prawo szczebiotania i wolności
[w świecie.
Otóż to jest, dlaczego iść za mąż pragniecie.
ZOFIA: Tak wysoko, stryjaszku, myśl moja
[nie lata:
Pragnę miłości męża i szacunku świata.
PAN JAN: Szacunku każda pragnie, lecz
[nie każda godna;
I ta, co kielich rozkosz wypiła aż do dna,
Co przy zwiędłej piękności z potrzeby
[cnotliwa,
Obiadem albo balem szacunku przyzywa,
Dom swój dobrego tonu chce uczynić
[tronem
I zawsze otoczona pieczeniarzów gronem,
Mniema, że nikt nie pomni, co się dawniej
[działo,
O, jak przenikliwości i rozumu mało!
Każdy chętnie zje u niej, butelkę wysuszy,

Wdzięczy się jej i kłania, ale gardzi
[w duszy,
ZOFIA: Pan Lubomir wie wszystko, zna
[i świat i ludzi.
PAN JAN: Zatem to pan Lubomir słówkami
[cię łudzi?
ZOFIA: Nie łudzi, bo mnie kocha.
PAN JAN: O dziewczyno płocha!
Któż ci, kiedyś bogata, nie powie, że kocha!
Znam ja dobrze paniczów w teraźniejszej
[chwili,
Co już w dwudziestym roku pół życia
[przeżyli.
Paryż! kochany Paryż! To ich hasło lube!
Pędzi jeden i drugi jak na swoją zgubę,
A gdy tam, co posiada, wszystko wraz
[utraca,
Pełen najdroższych wspomnień, ale goły
[wraca,
I kiedy już ostatki swej spuścizny strwoni,
Jak pies gończy za lisem, za posagiem goni.
Dla takiego i przysiąc znaczy bardzo mało,
Byle mu się najprędzej zbogacić udało
I byle mógł bądź co bądź, z żoną czy bez
[żony,
Wrócić znowu w rozpusty zamęt ulubiony.
ZOFIA: Nie turbuj się, stryjaszku, ja sobie
poradzę,
Jużem przecie nie dziecko, miej to na
[uwadze;
Daj tylko zezwolenie: on młody, ja młoda,
On kocha i ja kocham, a tak będzie zgoda.
PAN JAN: Nie jestem opiekunem, jakich
[wielu liczą,
Którzy wiecznej opieki chętnie sobie życzą.
Małoletni dla takich najczystsza intrata,
I kiedy chce wyjść na świat, nim jeszcze
[ma lata,
Musi wprzód opiekuna nie mało opłacić,
By miał wolność przed czasem swój
majątek stracić.
ZOFIA: Więc, jeśli moje szczęście masz
[szczerze na względzie,
Zezwól, nasze żądanie niech spełnione
[będzie;
A przez cały ciąg życia, w każdej, w każdej
[dobie,
Za wszelkie pomyślności będę wdzięczna
[tobie.
PAN JAN: No więc dobrze, za męża weź
[swego kochanka,
Weź, weź, tego słodkiego, miłego baranka;
Lecz nigdy mnie już nie nudź w najgorszej
[potrzebie!
(na stronie)
Zbędę się raz kłopotu i wrócę do siebie.
(do Zofii).
Jeszcze ci powiem . . .

SCENA VI.

PAN JAN, ZOFIA, PAN PIOTR, LUBOMIR.

PAN PIOTR (mając papier w ręku): Dobrze,
[zaraz ci podpiszę.
ZOFIA (do Lubomira): Obaj więc zezwalają?
PAN PIOTR: Zezwala, co słyszę!
PAN JAN Zezwala! więc to łapka!
PAN PIOTR: Jego to układy?
PAN JAN: Tak? chcieliście mnie podejść?
PAN PIOTR: Nienawidzę zdrady!
PAN JAN: O, nic z tego nie będzie.
PAN PIOTR: Pewnie, że nie będzie.
Pan Jan z swoim projektem na lodzie
[osiędzie.
PAN JAN: Wszystko było osnute zręcznie
[i dokładnie,
Lecz szkoda, że lis stary rzadko w łapkę
[wpadnie;
Braciszek krótko mówiąc, chciał mnie stąd
[oddalić,
Potem, że w pole wywiódł, przed światem
[się chwalić.
Sam zaś, zostawszy w domu, cudzym
[nota bene,
Wyciągnąć swoje łaski na wysoką cenę.
Wśród grona zalotników, jakby sam był
[panną,
Niszczyć prawem wieczornym obietnicę
[ranną,
Wymyślać, gderać, zrzędzić, choćby i dwa
[wieki,
Słowem: żyć, póki można, plonem tej
[opieki.
PAN PIOTR: Gdybym cię zrzędą nie
[znał, . . .
LUBOMIR: Panowie łaskawi.
Czyż udręczenie drugich tak was wielce
[bawi?
Jeden i drugi prawo opieki posiada;
Lecz jeśli jeden zniszczy, gdy je drugi nada,
Wieczna kłótnia trwać będzie, końca temu
[nie ma,
I nikt ręki Zofiji pewnie nie otrzyma.
PAN JAN: Czemużeś się wprost do mnie nie
[udał, mój panie?
LUBOMIR: Wtedy pan Piotr toż samo
[zadałby pytanie?
ZOFIA (do pana Piotra): Ach, luby stryju,
[zezwól . . .
PAN PIOTR: Nie, to być nie może.
ZOFIA (do pana Jana): Stryju, błagam . . .
PAN JAN: Nic z tego!
ZOFIA: Cóż czynić, o Boże! (płacze).
LUBOMIR: Wskażcie że mi, panowie, sposób,
[czynność, drogę,
Jak Zofiją zasłużyć i pozyskać mogę?

PAN JAN: Wcześniej tak trzeba było mówić
[ze mną szczerze,
A teraz tej pokorze nie ufam, nie wierzę,
I bądź pewnym, że głowy dla kształtu nie
[noszę.
LUBOMIR: Proszę...
PAN JAN: Dłużej nie nudzić, ja go także
[proszę.
LUBOMIR: Rzecz dziwna, niesłychana;
[niechże wiem przyczynę,
Niechże poznam przestępstwo, albo moją
[winę.
PAN PIOTR: Jesteś młody, więc słuchaj,
[co stary powiada.
Każda, jaka bądź władza przywilej posiada,
Że czy szczęściem, czy smutkiem swych
[niższych nabawia,
Nigdy się i z niczego przed nimi nie
[sprawia.
LUBOMIR: Szanuję ten przywilej, ale każde
[dzieło
Musi się kiedyś skończyć, gdy początek
[wzięło;
Zatem i każda władza, zwłaszcza nadużyta,
W szczęściu lub smutku niższych niech
[swój wyrok czyta;
Niejeden trwogi dozna, co rozrzucał trwogę.
Tę małą od młodego chciej przyjąć
[przestrogę.
(odchodzi).

SCENA VII.

PAN JAN, PAN PIOTR, ZOFIA.

PAN JAN, PAN PIOTR, ZOFIA:
(długie miczenie; wszyscy chodzą wzdłuż i poprzek).
ZOFIA (głośno i determinacją): Kiedy tak...
[więc powiadam...
PAN JAN. PAN PIOTR (razem): Cóż?
ZOFIA (przestraszona): Nic... lecz chcę
[prosić.
Chciejcie raz wasze myśli wyraźnie ogłosić,
Aby się pan Lubomir mógł do nich
[stosować;
Wszak mnie żywą w klasztorze nie chcecie
[pochować.
Trzeba, abym wiedziała, co się ze mną
[dzieje,
Chcę się dowiedzieć, jaką mogę mieć
[nadzieję.
W szesnastym roku życia myśli nie są
[płoche
I można swoim losem zatrudnić się trochę;
Ślepo wierzyć nie będę lada jakiej radzie,
Zwłaszcza, gdy mojej woli stanie na
[zawadzie.
Zatem powiadam... męczcie, dręczcie
[moją duszę,
Róbcie, co tylko chcecie, ja męża mieć
[muszę!
PAN PIOTR: Tam do kata! doprawdy!
PAN JAN: Wszakżem rzekł dopiero,
Że panieńska lękliwość nie jest zawsze
[szczerą;
Otóż ta, co dwóch zliczyć nie umie
[z pozoru,
Patrzcie, jak nas odważnie wyzywa do
[sporu.
PAN PIOTR: Co ja chcę, mościa panno,
[w jakimkolwiek względzie,
Niech zawsze dla niej prawem, świętym
[prawem będzie;
Łzom kobiecym nie wierzę, fochów się nie
[zlęknę
I błagać przebaczenia przed nią nie
[uklęknę;
Proszę więc pójść i czekać, aż przyślemy
[po nią!
ZOFIA (odchodząc, na stronie): Sami kochać
[nie mogą, to i drugim bronią!

SCENA VIII.

PAN PIOTR, PAN JAN.

PAN PIOTR (na stronie): Czy to brata był
[układ,
Bóg to raczy wiedzieć.
PAN JAN (Na stronie): Trzeba więc będzie
[tutaj sto lat jeszcze siedzieć!
Jednakże nie zezwolę...
PAN PIOTR (Na stronie): Zezwolić nie
[mogę.
PAN JAN (Na stronie): Byłoby tryumfalną
[uścielić mu drogę.
PAN PIOTR (Na stronie): Bo jeśli jego
[wola, drwiłby potem ze mnie.
PAN PIOTR (na stronie): O zgrozo! chcieć
[mnie, brata, podejść tak nikczemnie!
Ale może na kogo innego się zgodzi,
A dając Zosi męża, i mnie oswobodzi.
(do pana Piotra).
Chciałbym, mój panie Piotrze, pomówić
[z nim szczerze,
I stałe jego zdanie usłyszeć w tej mierze.
Kiedy się już tak stało, jak my sobie
[życzym,
I Lubomir nie wskórał i odejdzie z niczym,
Dobrze by przecie było ukończyć te zwady
I na jedne, raz w życiu, zgodzić się układy.
Dużo o rękę Zosi stara się młodzieży,
Kiedyśmy opiekuny, wybrać nam należy.
Zosia dziecko, pomału na wszystko zezwoli,

Nie umie poznać nadal szczęścia lub [niedoli
I jedynie nasz rozkaz stanowić tu będzie.
Mów więc, kogo wybierasz w zalotników [rzędzie?

PAN PIOTR: A nie do mnie należy w tej [mierze wybierać:
Ja tylko słuchać będę...

PAN JAN: I będę się spierać!
O, znam tę skromność twoją, nikt z nią [nie poradzi,
Niech ją kto jak chce mija, a przecie [zawadzi;
Ale kiedy tak żądasz, bez złości, uporu,
Pierwszy do tak ważnego przystąpię [wyboru.
Na przykład: cóż byś sądził... młody [kasztelanic?...

PAN PIOTR: Co? ha, ha, ha; ten burda, król [wszystkich pijanic,
Który wszystkich zaczepia, aby pił przy [zgodzie,
Co ciężarem sąsiadom, zakałem w swym [rodzie?
Jakże go, panie Janie, mogłeś wybrać [sobie?
Nikt go trzeźwym nie widział, chybaby w [chorobie.
Każdy go pilnie stroni, i powab kielicha
Zwabi tylko czasami spragnionego mnicha
Lub tego, co niebaczny, z kim się dzisiaj [brata,
Jutro martwi się stratą szacunku u świata.
A! pozwól, nad tą myślą niech się jeszcze [dziwię:
Chciałeś Zofiji zjednać piękny los [prawdziwie!
Obcą zawsze, czasami i zbytnią w swym [domu,
Być świadkiem, towarzyszką szaleństwa [i sromu,
Słyszeć i w dzień i w nocy krzyki i wiwaty,
Bać się i nie móc wstrzymać majątku [utraty,
Nareszcie zwykłym smutkiem podobnego [życia
Szukać gdzie w cudzym domu lichego [ukrycia;
To jest przyszłość niechybna i ta Zosię [czeka,
Jeżeli ją tak nasza obdarzy opieka.
Lecz na cóż długo szukać, gdy potrzeby [nie ma?
Pan Smętosz, bliski sąsiad, niechaj ją [otrzyma.

PAN JAN: Ten kutwa, co do skrzyni przed [gośćmi się chowa,
Który już wszedł w przysłowie, gdy [o skąpych mowa;
Nędzą, głodem, wśród złota na pół [umorzony,
Jakże mu myśl przyjść mogła szukać sobie [żony?
I któraż to pomyśli zostać jego żoną?
Nie było jeszcze takiej i nie będzie pono.
Wszak to jego zdarzenie tak sławnym [zostało,
Że o nim nie wiedzących znajdziesz bardzo [mało.
On to, sług wypędziwszy swym sknerstwem [bez miary,
Został się sam przy skrzyni, przy bramie [pies stary,
Wierny, bo na łańcuchu, zażarty, bo głodny,
Był straszny dla hultajów, dla panów [dogodny.
Lecz gdy pan zawsze pościł, jak i teraz [pości,
A pies już nie dostawał ni chleba ni kości,
Wychudł... nareszcie skonał jednego [wieczora,
A w nim razem i sługa i straży podpora.
Wtedy to nasz pan Smętosz tając śmierć [brytana,
Właził wieczór do budy i szczekał do rana;
Lecz choć dobrze udawał brysia [nieboszczyka,
Łotr jakiś z lepszym węchem do domu [sie wmyka,
I gdy sknera aż chrypnie, tak wyje [i szczeka,
Złodziej z jego pieniędzmi szczęśliwie [ucieka.

PAN PIOTR. Hm, species dykteryjki...

PAN JAN: Prawda, prawda czysta,
Zaświadczy sto żyjących, zaświadczy ich [trzysta.
A pozwól, nad tą myślą niech się jeszcze [dziwię,
Chciałeś Zofiji zjednać piękny los [prawdziwie!
Jednak nie mogę myśleć, abyś mówił [szczerze,
Żeś się chciał tylko spierać, temu chętnie [wierzę.

PAN PIOTR: Czy tak?

PAN JAN: Tak, tak, tak!

PAN PIOTR: Prawda, ja zrzędzę od rana.

PAN JAN: Bo jakże... ale proszę... bo czy [rzecz słychana,
Żeby chcieć synowicę zrobić Smętoszową!
Ten, co...

PAN PIOTR: Coś już powiedział, nie [wszczynaj na nowo.
Mniejsza z tym... bierz go licho!

PAN JAN: Kiedy tak, więc za nic
Niech będzie i mój projekt, za nic
[kasztelanic;
Bo nie jestem uparty...
PAN PIOTR: Któż zatem zostaje?
PAN JAN: Pan szambelan Dorancki
[godnym mi się zdaje.
PAN PIOTR: Ten z miechowskim orderkiem
[fircyk posiwiały,
Co diabli wiedzą, na czym strawił wiek
[swój cały,
Nie w wojsku i nie na wsi, ani na podróży,
Z państwem się tylko brata, lub mu raczej
[służy;
Wprawdzie ma dość majątku, posag
[miernie ceni,
Lecz mniema, że zaszczycik, z którą się
[ożeni.
Nie odwyknie, do czego nawykał tak długo,
Będzie miał przyjaciółki, żona będzie sługą,
I szczęście, jeśli z wiekiem, w obliczu
[swych dzieci,
Nierządem, jak pan Zdzisław, scen
[brudnych nie wznieci.
Ale to wszystko mniejsza, bo może
[się mylę,
Lecz to dobrze zważyłem i to razy tyle,
Że kiedy w towarzystwo wejdzie
[niespodzianie,
Pół słowa na języku każdemu zostanie;
Nikt już śmiało nie mówi, nikt sobie nie
[wierzy
I nim głosu dobędzie, myśli swoje mierzy.
Nie wiem, co za przyczyna, i nie chcę
[dochodzić,
Lecz co na szambelana nie mogę się zgodzić;
Wszakże już pan Rymowicz godniejszy,
[jak wnoszę.
PAN JAN: Ach! tylko mi poety nie
[wspominaj proszę!
Żaden z nich ni o sobie ni też w sobie myśli,
Jakieś światy nieznane wrzącym duchem
[kreśli,
Nie lubi się zatrudniać ni dziećmi ni żoną,
Bo go gdzieś jakieś wabi nieśmiertelnych
[grono;
Lecz gdy się tak z dnia na dzień zajmuje
[Parnasem,
Tu go na ziemi skubią i kradną
[tymczasem.
Zostaje potem zwykle bez grosza dochodu
I chociaż nieśmiertelny, musi umrzeć
[z głodu.
Tak, jak pan Pegaziński... znałem go
[przed laty;
Wziął po ojcu majętność, miał piękne
[intraty,
Lecz cóż, kiedy nieszczęściem pomyślał
[o Febie
I zapomniał o ludziach, zapomniał o chlebie.
Koło jego wrót jechać bały się sąsiady,
Aby nie spotkać bajki, ody, lub ballady,
A gdy złapał, to szczęście, jeśli o zachodzie
Mógł kto dwudziestej czwartej wyślizgać
[się odzie.
O przyszłości nie myślał, wszystko, co
[mógł, tracił,
Długów dużo narobił, podatków nie płacił,
Rymował i rymował i latał Pegazem,
Aż prozą wzięto wioskę za sądu rozkazem,
I teraz gdzieś pod strychem pewno z nędzy
[ginie
I ukończa przy wodzie, co zaczął przy
[winie.
Cóż z tego, proszę, dzieciom i zgłodniałej
[żonie,
Że mąż w biedzie wawrzynem uwieńcza
[swe skronie!
Cóż są te chwały, sławy, świątynie,
[kościoły,
Kiedy każdy poeta całe życie goły!
PAN PIOTR: Ten zły i ten nie dobry...
[i cóż, panie Janie,
Jak tak zaczniesz wybierać, młodzieży nie
[stanie,
I chociaż to ja niby chętnie się przeciwię,
Milczę całą godzinę... ty gadasz
[szczęśliwie.
PAN JAN: Więc może znowu zrzędzę!
PAN PIOTR: To nie twoja wada.
PAN JAN: Jużci mówię czasami, gdy mówić
[wypada,
Zwłaszcza kiedy niejeden rozprawia od
[rzeczy,
Swoje złe utrzymuje, a dobremu przeczy.
PAN PIOTR: Każdy chętnie swe zdania za
[dobre uważa.
PAN PIOTR: Zbłądziwszy, kto błąd wspiera,
[swą winę pomnaża.
PAN PIOTR: Więc błądzi, kto waćpanu nie
[da sobą rządzić.
PAN JAN: Kto się lubi sprzeciwiać, musi
[często błądzić.
PAN PIOTR: Trzeba milczeć, gdy mówisz...
PAN JAN: Lub mówić rozumnie.
Co jest dobrym u świata, jest dobrym
[i u mnie.
Nie lubię drugich ganić, roztrząsać ich
[winy,
I gęby nie otwieram, gdy nie mam
[przyczyny;
Ale ścierpieć nie mogę, zatem nie zezwolę,
By wtrącić synowicę w dozgonną niewolę.
Cóż? miałaby do twego przystąpić wyboru?
Niech raczej jeszcze dzisiaj idzie do
[klasztoru.

SCENA IX.

PAN JAN, PAN PIOTR, LUBOMIR.

LUBOMIR: Zawsze razem i zawsze
[w najpiękniejszej zgodzie!
Drogi przymiot, jak zważam, w ich
[szlachetnym rodzie
Prawdziwie mało znałem tak uprzejmych
[braci:
Żaden z was sposobności najmniejszej nie
[straci,
By drugiemu usłużyć, być pomocnym
[w radzie,
Uprzedzić, zobowiązać, ustąpić w układzie;
Bo też nic piękniejszego, jak zgoda
[w rodzinie:
Wspólnie podzielać chwałę, gdy dobrze
[uczynię,
Znaleźć wad pobłażanie, przestrogę w złym
[kroku,
Mieć doradcę w braterskim i sercu i oku,
Ufnością ufność płacić, wszystko poddać
[zgodzie,
Znachodzić łzę w strapieniu, a uśmiech
[w swobodzie,
I słowem, do krwi związków przyjaźń
[złączyć jeszcze;
Ach tę rozkosz ja w liczbę boskich rozkosz
[mieszczę.
PAN PIOTR (do pana Jana): Drwi z nas pono.
PAN JAN (dopa na Piotra): Wyraźnie.
PAN PIOTR (do pana Jana): A może i w
[błędzie.
PAN JAN (do pana Piotra): Wszekżeśmy
[rzadko w zgodzie...
PAN PIOTR (do pana Jana): Mówią o tym
[wszędzie.
PAN JAN (do pana Piotra): Czasem nadto
[się gniewam.
PAN PIOTR (do pana Jana): Jam trochę
[uparty...
PAN JAN (do pana Piotra): Ale cóż ma za
[prawo stroić sobie żarty?
Nadszedłeś waćpan właśnie nieszczęściem
[w tej chwili,
Kiedyśmy trochę z bratem za głośno mówili.
Widzę więc, że te szczęścia i zgody
[pochwały
W wyśmianiu naszej sprzeczki jedyny
[cel miały.
LUBOMIR: Poznałeś się pan przecie na
[mnie i na sobie?
Tak jest, chciałem żartować, sekretu nie
[robię,
I zdaje się, że kiedym tak długo w tym
[domu,
W którym dobrego słowa nikt nie da
[nikomu,
Gdzie od samego rana i kłótnia i wrzawa,
Zdaje się, żem rządzenia już dostąpił
[prawa.
Prawdziwie, mało znałem tak niezgodnych
[braci:
Żaden z was sposobności najmniejszej nie
[traci,
By drugiemu dokuczyć, być nieszczerym
[w radzie,
Przeciwić się i nudzić w najlichszym
[układzie.
Złem jest każda niezgoda, lecz zgrozą
[w rodzinie:
Doznawać wciąż niesnasek, dobrze czy źle
[czynię,
Mieć zawsze prześladowcę, szpiega
[w każdym kroku,
Czytać niechęć w braterskim i sercu i oku,
Chytrością chytrość płacić, żyć ciągle
[w niezgodzie,
Widzieć radość w strapieniu, a zazdrość
[w swobodzie,
I czuć, że się serc naszych natura wyrzekła,
Takie życie, mym zdaniem, czysty obraz
[piekła.
PAN JAN: A! już tego zanadto! cóż to jest
[u kata?
LUBOMIR: Jest, że pan jesteś zrzędą
[nieznośnym dla świata.
PAN JAN: Ale...
LUBOMIR: Słusznie, niesłusznie,
[wszystkiemu przyganiasz.
PAN JAN: A już!...
LUBOMIR: A od nagany siebie nie
[zasłaniasz.
PAN JAN: Panie...
LUBOMIR: Co ci dobrym dziś, jutro złym się
[staje.
PAN JAN: Słuchaj...
LUBOMIR: Nie chęć poprawy, złość nauki
[daje,
I jak żmija zjadliwa, co się wkoło ciska,
Tak pan kaleczysz, kogo jeno zoczysz
[z bliska.
PAN JAN: Niemieje, czy ja żyję?
LUBOMIR (do pana Piotra): A waćpan mój
[panie,
Czego się śmiejesz, czego tak śmieszne
[me zdanie?
Ale nie, znam go dobrze, udręczenie brata
Jakby największa rozkosz do duszy mu
[wlata
I ten uśmiech sprowadza; dobrze,
[wyśmienicie!
Pięknymi uczuciami oba się szczycicie!
Pan to jesteś największą zawadą do zgody:
Mogące przekonywać zarzucasz dowody,
Najświętsza prawda, równie jak i błędne
[zdanie,

Znajduje w tobie sprzeczność, podlega [naganie;
Myślisz tylko, czym wzniecić, czym [utrzymać kłótnie
Smutnym zwaśnieniem drugich pastwisz [się okrutnie,
I tak jesteś nie tylko dla swoich zgryzotą,
Lecz i całej ludzkości szkodliwą istotą.

(odchodzi).

SCENA X.

PAN PIOTR, PAN JAN.

PAN JAN: No i cóż, panie Piotrze, dosyć [niespodzianie
Usłyszałeś rzetelne, potężne kazanie.

PAN PIOTR:I waćpan...

PAN JAN: Jeszcze dotąd śmieje się i dziwię;
Wszak językaś zapomniał...

PAN PIOTR: Ja się także śmieję.
Kiedy wspomnę, jak waćpan...

PAN JAN: Tak się zawsze dzieje,
Kiedy kto zna swe wady, a wspierać je [żąda,
Wtedy komu bądź w oczy nieśmiało [spogląda.

PAN PIOTR: Ależ mój panie Janie...

PAN JAN: I co mnie w tym bawi,
Że ten, co tak zuchwale zwierciadło ci [stawi,
Jest ów dzisiaj wybrany, ów przyjaciel [drogi;
Dla niegoś spiski knował, szukał krętej [drogi,
Jemuś dawał Zofiję, mnieś chciał wywieść [w pole.

PAN PIOTR: I może na ten związek jeszcze [dziś zezwolę

PAN JAN: O raczej na śmierć swoją.

PAN PIOTR: Co zechcesz, uczynię!

PAN JAN: Wszystko, wszystko, nie wątpię, [prócz tego jedynie.

PAN PIOTR: Jakież to urazy?
Jeślim słyszał, com nie chciał, waćpan [dwakroć razy,
I żebym cię przekonał, jak to mało cenię,
Oto jest opiekunów prawne zezwolenie,
Siadam i podpisuję! (siada i podpisuje).

PAN JAN (na stronie): Ten człowiek szalony!

PAN PIOTR: Któż z nas teraz obydwóch [mocniej urażony?
Masz w rzeczy i przyczynę, łajał się bez [miary.

PAN JAN: Co, mnie?

PAN PIOTR: Wszakże przyrównał do jakiejś [poczwary.

PAN JAN: Nie słyszałem.

PAN PIOTR: Co wściekle rzuca się na ludzi.

PAN JAN: Nie słyszałem.

PAN PIOTR: Czegoż to śmiechu nie [wzbudzi?
Nie, gniewać się nie możesz.

PAN JAN (na stronie): Pęknę, umrę, zginę!

PAN PIOTR: A gniewając się, trzeba [powiedzieć przyczynę.
Czemuż się już nie śmiejesz?

PAN JAN: Czemu się nie śmieję?

PAN PIOTR: Zgryzło cię, żem podpisał.

PAN JAN (na stronie): Przeklęcie, szaleję!
(głośno).
Podpisałeś! więc dobrze; wiem, wszystko [rozumiem,
Znam całą myśl twoją, znam, zamiar pojąć [umiem,
Wszystko byś wolał stracić, niźli szczęście [sprawić
Tego, co ci tak gorzko śmiał prawdę [wystawić.
Lecz chcesz, bym się sprzeciwiał, [a dogadzał tobie?
Tak miałbyś plon żądania i tryumf przy [sobie,
Ale nic z tego; gdzie? daj! na złość ci [podpiszę.
(siada i podpisuje).

PAN PIOTR (na stronie): Podpisał! czy [szalony!

SCENA XI

PAN JAN, PAN PIOTR, LUBOMIR.

LUBOMIR (który we drzwiach podsłuchiwał trochę): [Co widzę, co słyszę?
Zezwalacie obydwa!

PAN JAN (podsuwając papier): Na, masz [zezwolenie!

PAN PIOTR (z ironią): Kadućznie mi [dokuczył!

PAN JAN (z ironią): To dla mnie [zmartwienie!

PAN PIOTR: Rób, co chcesz, ja odjeżdżam.

PAN PIOTR: Ja nie zabawię.

PAN PIOTR (odchodząc): Toś wyszedł [doskonale!

PAN JAN (odchodząc): Toś zyskał w tej [sprawie!

SCENA XII.

LUBOMIR.

LUBOMIR: Dobrze więc przewidziałem
[i poznałem braci:
Za zmartwienie drugiego każdy mi dziś
[płaci;
Co nie mogła cierpliwość, nie mogło
[błaganie,
Przez sparte, sprzeczne siły spełnionem
[zostanie.
Teraz kłóćcie się, krzyczcie, zrzędźcie
[w dzień i nocy,
Wyrok naszego szczęścia już jest w mojej
[mocy.

SCENA XIII.

LUBOMIR, ZOFIA.

LUBOMIR (otwiera drzwi): Zofijo chodź,
[Zofijo! szczęście nam jaśnieje!
Spełnione przecie nasze najdroższe
[nadzieje!
ZOFIA: Czy być może? stryjowie?
LUBOMIR: Zezwolenie dali.
ZOFIA: Jakże, powiedz, tak prędko, tak
[nagle przystali?
LUBOMIR: Później twoją ciekawość całkiem
[zaspokoję.

SCENA IV.

ZOFIA, LUBOMIR, PAN JAN.

(Pan Jan w płaszczu, kapeluszu, laską w ręku, słucha pierwszego wiersza w głębi stojąc).

LUBOMIR: A teraz przyszłym szczęściem
[cieszmy się oboje.
PAN JAN: Szczęście! brawo, wybornie;
[każdy, co się żeni,
Chwilę, w której ślub bierze, chwilą
[szczęścia mieni,
Ale gdy roczek jeden i drugi upływa,
Nie każdy dzień swych ślubów dniem
[szczęścia nazywa.
Waćpanna pewnie mniemasz, że ów panicz
[młody
Zawsze będzie zajęty celem jej swobody?
Że zawsze znajdziesz w mężu czułego
[kochanka,
Jakiego snadnie kreśli romans lub sielanka:
Co by mierność przekładał nad zaszczyty
[tronu,
By swą lubą w zaciszu mógł wielbić
[do zgonu,
Który by pełen czucia w każdej życia porze
Miłością jej weselną przypominał zorzę.
Poznasz, poznasz, lecz późno, co to jest
[mieć pana,
I czy tak, jak kochanka, jest żona kochana.
A waćpan, co się cieszysz prawie jak
[szalony,
Że dojdziesz tego szczęścia i dostąpisz żony,
Powiedz, czyli nie widzisz, co się z ludźmi
[dzieje?
Jak częstokroć mąż płacze, gdy się drugi
[śmieje,
Jak rzadko jedność w domu do końca
[utrzyma,
I jak głupią gra rolę, gdy pieniędzy nie ma.
Na wsi wciąż bawić nudno, w mieście
[niebezpiecznie,
Zawsze być na rozkazy i lękać się wiecznie;
Ach wierzaj, będziesz płakał wolnych
[chwil utraty,
Wierzaj mi, mogę mówić, bo i ja żonaty.

SCENA XV.

ZOFIA, LUBOMIR, PAN JAN, PAN PIOTR.

(Pan Piotr w płaszczu i kapeluszu).

PAN PIOTR (w głębi): Znowu zrzędzi.
PAN JAN: Cóż z tego?
PAN PIOTR: Gderaj sobie, ale...
PAN JAN: Chcesz się kłócić?
PAN PIOTR: Ja?
PAN JAN (Idąc ku drzwiom): A ty?
PAN PIOTR: Nie mówię nic wcale...
PAN JAN: Mówisz, albo nie mówisz...
PAN PIOTR: Zawsze źle.
PAN JAN: Szkaradnie.
PAN PIOTR: Czy taki?
PAN JAN: Tak, bo co myślisz każdy łatwo
[zgadnie.
ZOFIA: Ach, czyliż między nimi nigdy nie
[ustanie
Ta sprzeczka nieustanna, to wieczne
[gderanie!
LUBOMIR: Do nas teraz należy przykładem
[swobody
Zmusić ich do milczenia, zachęcić do zgody;
A jeśli zawsze kłótnia będzie im tak drogą,
Niech się kłócą, że szczęścia zaprzeć nam
[nie mogą.

KONIEC.

Z ŻYCIA YMCA

JÓZEF BEDNAREK

CO TO JEST YMCA?

YMCA jest powszechnie używanym skrótem nazwy, której pełne brzmienie jest: Young Men's Christian Association, co w dosłownym tłumaczeniu na język polski znaczy: Młodych Mężczyzn Chrześcijańskie Stowarzyszenie. Pełna nazwa polskiej organizacji brzmi: Polska YMCA — Chrześcijański Związek Młodzieży, skrót: Polska YMCA.

Ktokolwiek by sądził, iż istnieje jedna, zadawalająca wszystkich odpowiedź na pytanie: „Co to jest YMCA", byłby w błędzie.

Definicje określające YMCA są tak różne, jak różne są kraje, w których one istnieją, oraz środowiska, którym służą. Jest to tym bardziej zrozumiałe, jeśli się zważy, iż każda narodowa YMCA jest żywym organizmem, wyrastającym na własnym podłożu kultury i tradycji narodowych, i dzięki temu posiada nie tylko własne, zazwyczaj odmienne, formy organizacyjne i program działalności, lecz również swe specjalne znamiona.

Zacznijmy jednak od tego, co jest wspólne dla wszystkich YMCA, — od nazwy. Nazwa jakiejkolwiek organizacji czy instytucji winna nam dać pierwsze informacje, dotyczące jej charakteru i zadań. Nazwa YMCA, przetłumaczona na 70 różnych języków, stwierdza, iż jest to Chrześcijańskie Stowarzyszenie Młodych Mężczyzn. Cóż mówią nam te cztery słowa? Słowo „Chrześcijański" wskazuje na to, że cele i zadania tej organizacji zgodne są z ideologią chrześcijańską; słowo „Stowarzyszenie" oznacza, że jest to organizacja, oparta na zasadzie członkostwa; ostatnie dwa słowa „Młodych Mężczyzn" określają, jaka grupa stanowi trzon jej członkostwa.

Chrześcijański charakter YMCA i jej postawa ideologiczna jest wspólnym dla wszystkich YMCA niezależnie od ich podłoża narodowego, czy też układu stosunków, w którym działają. Postawę tę określa deklaracja ideowa, przyjęta przez Pierwszą Światową Konferencję YMCA, odbytą w Paryżu w roku 1855, która mówi:

„Chrześcijańskie Stowarzyszenia Młodych Mężczyzn (są związkami, które) starają się jednoczyć młodych ludzi, którzy uważając Jezusa Chrystusa za swego Boga i Zbawcę zgodnie (z nauką zawartą) w Piśmie Świętym, pragną być Jego wyznawcami w wierze i życiu i przyczynić się do rozszerzenia Jego królestwa wśród młodych".

Deklaracja ta, zwana „Paryską bazą", potwierdzona przez 22-gą Światową Konferencję odbytą w Paryżu w sierpniu ubiegłego roku, z okazji setnej rocznicy powstania Światowego Związku YMCA, jest ogniwem łączącym wszystkie narodowe związki YMCA w Związek Światowy.

Deklaracje ideowe związków narodowych YMCA, zgodne z duchem „Paryskiej bazy", ze względów wspomnianych na początku, różnią się znacznie sposobem sformułowania zadań i celów. Dla zilustrowania tych różnic, jak również jednolitej postawy narodowych związków odnośnie chrześcijańskiego charakteru organizacji, poniżej przytaczamy parę definicji YMCA, przyjętych w różnych krajach:

Włochy — „YMCA są wolnymi stowarzyszeniami, niezależnymi od żadnej innej organizacji religijnej czy świeckiej, zrzeszającymi młodych ludzi, którzy dążą do fizycznego, umysłowego, społecznego i duchowego rozwoju swej osobowości poprzez wiarę i życie chrześcijańskie, zgodnie z przekonaniami i tradycjami każdego z nich".

Palestyna — „Uznając i przyjmując za swoje zasady chrześcijańskiego życia i pomocy bliźniemu, Stowarzyszenie ma za cel rozwój charakteru i zachęcanie swych członków do pracy nad polepszeniem duchowych, społecznych, intelektualnych i fizycznych warunków życia młodzieży".

Chiny — „Celem stowarzyszenia jest jednoczyć młodzież w wysiłku do wzmacnia-

nia chrześcijańskiego ducha, rozwoju wszechstronnej osobowości i budowania zdrowego materialnie społeczeństwa".

U.S.A. — Uważamy, że YMCA w swej istocie jest ogólnoświatowym, braterskim związkiem chłopców i mężczyzn, zjednoczonych wspólnym kultem dla Jezusa Chrystusa, mającym na celu budowanie chrześcijańskiej osobowości i chrześcijańskiej społeczności".

(Pomijamy tutaj celowo deklarację ideową Polskiej YMCA, gdyż charakter naszego Związku, jego cele i zadania omówiene będą w specjalnym artykule).

YMCA jest stowarzyszeniem, składa się z grup i jednostek związanych wspólnym celem lub zainteresowaniem. Członkostwo w YMCA dla jednych znaczy uznanie celów stowarzyszenia za swoje i przyjęcie odpowiedzialności za wcielanie ich w życie, dla drugich udział w wybranych przez siebie rodzajach działalności, prowadzonych przez stowarzyszenie. Ogólnie przyjęta w YMCA zasada dzieli członków stowarzyszenia na dwie zasadnicze grupy:

członków uczestników, to znaczy tych, którzy pragną korzystać z urządzeń lub programu działalności stowarzyszenia,

członków rzeczywistych, często zwanych czynnymi, którzy, świadomi celów i zadań stowarzyszenia, pragną poprzez bezinteresowną pracę przyczynić się do ich urzeczywistnienia i do rozwoju organizacji.

Te dwa rodzaje członkostwa, które znajdziemy niemal w każdej YMCA, nadają stowarzyszeniu z jednej strony charakter ruchu młodzieżowego, z drugiej instytucji wychowawczej i klubu.

YMCA przed wojną znana była szerokim masom ze wspaniałych gmachów, obozów, uniwersytetów, oraz ze swej działalności kulturalno - oświatowej, sportowej itp.; w czasie wojny ze swej akcji pomocy żołnierzom, jeńcom wojennym i wysiedleńcom. Ci, którzy spotkali YMCA w tych okolicznościach, poznali ją jako instytucję i nie będzie przesady, jeśli powiem, że z usług jej korzystały, w tej czy innej formie, miliony.

By jednak dać, należy przedtem mieć; by nieść pomoc milionom, należy mieć równie dużą liczbę tych, którzy na ten cel dają. I tu wkraczamy w sferę YMCA jako ruchu ideowego, który na przestrzeni ostatnich stu lat ze stowarzyszenia, liczącego w chwili jego powstania 14 członków, rozrósł się do milionowej organizacji, istniejącej w chwili obecnej w 74 krajach na całym świecie. Ten zdumiewający i jedyny w swym rodzaju rozwój YMCA był możliwy tylko dzięki głębokiej wierze w szczytność ideałów stowarzyszenia milionów młodych, którzy związali z nim swe życie i nie żałowali swego czasu, pracy i pieniędzy, by ideały te realizować w życiu. Dzięki osobom, które wnoszą te wartości i środki, YMCA może prowadzić pracę pogłębiającą życie duchowe ludzi, wzbogacać ich wiedzę, udostępniać im korzystanie ze skarbów kultury, ułatwiać ich życie społeczne, wzmacniać ich sprawność fizyczną i służyć tym, którzy tej pomocy najbardziej potrzebują.

YMCA powstała jako ruch ideowy, którego celem było „polepszenie warunków życia duchowego młodzieży". Stopniowo w latach następnych cel istnienia i pracy YMCA został rozszerzony na dziedziny życia umysłowego, społecznego i wychowania fizycznego. Do osiągnięcia tych celów członkowie YMCA dążą, starając się żyć i działać zgodnie z nauką Pana Jezusa. Realizując zasady chrześcijańskie w życiu, w imię miłości bliźniego i chęci pomocy i służenia innym, YMCA, jako ruch młodzieżowy, powołała do życia instytucje, nadające jej postać ruchu nie tylko społecznego, czy wychowawczego, ale przede wszystkim chrześcijańskiego. YMCA jako instytucja, poza wypełnianiem swych ogólnych zadań wychowawczych, winna być ośrodkiem, z którego wyjdą sympatycy, członkowie rzeczywiści i działacze YMCA jako ruchu zapewniającego Imce nie tylko egzystencję, ale i dalszy rozwój.

Dla dokładniejszego przedstawienia tych dwóch, organicznie związanych z sobą członów stowarzyszenia, spróbuję przeprowadzić porównanie między YMCA jako „ruchem" a „instytucją", mającą nadzieją, że uzupełni ona naszą dotychczasową odpowiedź na pytanie: Co to jest YMCA?

	RUCH	INSTYTUCJA
Cel	Rozwój duchowy, umysłowy, społeczny i fizyczny młodzieży. Przepojenie tej młodzieży duchem ofiarnej służby dla własnego społeczeństwa oraz ludzkości. Utrzymanie łączności z młodzieżą innych krajów, dążącą do podobnych ideałów.	Zaspakajanie potrzeb i zainteresowań młodzieży drogą dostarczania pomieszczeń, prowadzenia działalności oraz służby społecznej.

Członkowie	Ci, którzy przyjęli podstawowe zasady i cele YMCA za swoje i do urzeczywistnienia ich dążą przez: zastosowanie w życiu zasad, zawartych w nauce Chrystusa i stwierdzonych przykładem Jego życia; znajomość, przestrzeganie i propagowanie zasad YMCA słowem, czynem a zwłaszcza osobistym przykładem; ofiarną pracą dla bliźnych i społeczeństwa za pomocą tej lub innej podobnej organizacji.	Wszyscy, którzy pragną korzystać z lokali YMCA i jej urządzeń lub działalności i zobowiązują się przestrzegać regulaminów wewnętrznych.
Uprawnienia członków	Poprzez wybrane przez siebie władze, decydowanie w sprawach działalności, rozporządzanie funduszami, oraz bierne i czynne prawo wyborcze.	Po załatwieniu przewidzianych regulaminem formalności, korzystanie z urządzeń i branie udziału w działalności organizacyjnej dla członków uczestników.
Okres przynależności	Stały, kończący się z chwilą rezygnacji lub w wyjątkowych przypadkach usunięciem.	Okresowy, kończący się z upływem opłacanych składek, lub z zakończeniem działalności.
Elementy atrakcji	Ideologia stowarzyszenia. Praca dla rozwoju stowarzyszenia.	Lokal, urządzenia, program. Praca społeczna.
Działalność	Planowanie, organizowanie, nadzór, kontrola i ocena pracy. Szkolenie przodowników. Organizowanie zjazdów, konferencji, zebrań. Reprezentacja. Zdobywanie przyjaciół i funduszów.	Działalność o charakterze oświatowym, kulturalnym, społecznym, sportowym, itp. Rozrywka i wczasy.
Prace wolontariuszowskie	Praca dla rozwoju i rozbudowy stowarzyszenia.	Pomoc przy prowadzeniu instytucji i jej działalność.
Szkolenie	Szkolenie przodowników ruchu YMCA.	Szkolenie instruktorów i fachowców, potrzebnych do prowadzenia różnych rodzajów działalności.
Przodownictwo	Udział lub funkcje specjalne w zarządach, komitetach, komisjach na zjazdach, konferencjach, zebraniach itp.	Prowadzenie kół zainteresowań specjalnych, zespołów artystycznych, grup sportiwych, itp.; organizacja wszelkiego rodzaju imprez.
Pracownicy	Sekretarze zawodowi YMCA z ogólnym wykształceniem, potrzebnym w pracy wychowawczej, młodzieżowej i społecznej oraz ze specjalnym wyszkoleniem imkowskim.	Instruktorzy, nauczyciele, fachowcy w różnych dziedzinach, pracownicy biurowi i administracyjni.
Pomieszczenia i sprzęt	Pokoje do zebrań. Ośrodki szkoleniowe.	Budynki, wyposażone dla prowadzenia pracy oświatowej, kulturalnej, wychowawczej, sportowej, rozrywkowej itp. Świetlice, obozy letnie, szkoły, działy mieszkaniowe, kantyny itp.
Źródła dochodów	Składki członkowskie. Dary.	Dochód z przedsiębiorstw, opłat za usługi; dochód z działalności. Subwencje.

Na ogół możemy powiedzieć, że YMCA jest Ruchem Młodych, którzy przyjmując ideały stowarzyszenia za swoje, pragną przyczynić się do ich zrealizowania poprzez osobisty przykład i bezinteresowną pracę dla drugich.

Terenem ich działania są szerokie warstwy młodzieży wszystkich klas społecznych, grup zawodowych i wyznaniowych, w miastach, osiedlach i ośrodkach specjalnych takich, jak obozy jenieckie, wysiedleńców itp.

Warsztatami ich pracy są instytucje takie, jak domy, YMCA, obozy, świetlice, boiska itp.

Na jednym z kursów szkoleniowych, podczas wykładu na temat: Co to jest YMCA?, prelegent użył następującego porównania, które, zdaniem moim, doskonale charakteryzuje rolę YMCA i jej zadania:

„Rzeka Jordan wpada do morza Galilejskiego, które pulsuje życiem i położone jest w pięknym otoczeniu. Morze to pozwala rzece płynąć dalej. Kończy ona swój bieg, wpadając do morza Martwego. Morze Martwe otrzymane dary zatrzymuje dla siebie. Jak wiemy, nie zawiera ono żadnego życia a otoczenie jego jest pustynne.

Morze Galilejskie i Morze Martwe — to obraz dwóch YMCA.

W pierwszym przypadku YMCA idzie do ludzi, przynosi im swe wartości, promieniuje, wzbogaca i nie zatrzymując się idzie naprzód, by pomóc innym.

W drugim przypadku wszystkie zainteresowania członków YMCA ograniczają się do własnego grona i stowarzyszenie nie jest zdolne dać coś z siebie. Taka YMCA jest organizacją martwą".

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE

BIULETYN RADY GŁÓWNEJ POLSKIEJ YMCA

Zebranie Prezydium Rady Głównej

Zebranie Prezydium Rady Głównej Polskiej YMCA, pierwsze od chwili ukonstytuowania się Polskiej YMCA w Europie Zachodniej w miesiącu sierpniu 1955 r., odbędzie się w dniach 25 i 26 lutego b.r. w Genewie.

Na porządku obrad znajdują się zalecenia konstytucyjnego zebrania Polskiej YMCA, przekazane Prezydium do realizacji; dotyczą one organizacji wewnętrznej Związku i stosunków z innymi organizacjami YMCA. Nadto omówione zostaną sprawy bieżące z budżetami i planem pracy na rok 1956 na czele.

Nawiązanie oficjalnych stosunków ze związkami YMCA w innych krajach

Rada Główna Polskiej YMCA nawiązała oficjalne stosunki ze wszystkimi narodowymi związkami YMCA na całym świecie.

Z okazji Świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku rozesłane zostały do wszystkich Związków życzenia okolicznościowe. W odpowiedzi Polska YMCA otrzymała liczne pisma, wyrażające serdeczną postawę wobec nowo ukonstytuowanej organizacji oraz życzenia owocnej pracy.

Narady z narodowymi związkami YMCA

W miesiącu grudniu przedstawiciele Światowego Związku YMCA i Polskiej YMCA odbyli konsultację z przedstawicielami niemieckiej YMCA odnośnie wzajemnych stosunków. Na zebraniu tym Polska YMCA reprezentowana była przez dra Cichorskiego i p. Rogalskiego, członków Rady Sekcji Polskiej YMCA w Niemczech,i przez J. Bednarka, dyr. gen. Polskiej YMCA.

Zasilenie Sekcyj polskimi książkami

W miesiącu styczniu Rada Główna Polskiej YMCA rozesłała Sekcjom Polskiej YMCA w Anglii, Francji i Niemczech 450 książek naukowych i podręczników języka polskim, między innymi:

Podręczniki religii rzymsko - katolickiej,
Podręczniki do nauki czytania i pisania,
Gramatyki polskie,
Dzieje Polski,
Wypisy polskie,
Geografie itp.

Książki te w przeważnej mierze są wydawnictwami Światowego Związku YMCA, lub też uzyskane zostały z innych źródeł dla zasilenia bibliotek Ognisk i Kół Polskiej YMCA w W. Brytanii, Francji i Niemczech oraz do użytku w szkołach polskich.

Wizytacje dyrektora generalnego

Dyrektor Generalny Polskiej YMCA p. Józef Bednarek odwiedził w miesiącach listopadzie, grudniu i styczniu wszystkie Sekcje Polskiej YMCA. W czasie tych wizyt p. Bednarek odwiedził wiele Ognisk i Kół Polskiej YMCA i miał możność bezpośredniego zetknięcia się z problemami pracy w terenie.

Wizytacje te, jak również zebrania z zarządami

jednostek lokalnych i Radami Sekcyj wykazały, iż najpilniejszymi zagadnieniami w poszczególnych krajach są:

w Anglii — założenie 2 — 3 nowych ośrodków,

w Niemczech — sprawa pomocy polskim szkołom,

we Francji — rozbudowanie pracy w Paryżu, oraz pomoc Kołom na prowincji w uzyskaniu odpowiednich pomieszczeń.

Z ŚWIETLICY MIĘDZYNARODOWEJ YMCA W NILVANGE

Koło polskiej YMCA w Nilvange (Mos., Francja) po jednorocznej działalności w nowo zbudowanej świetlicy, w oparciu o Komitet kordynacyjny składający się z czterech grup narodowościowych, poszerzyło program pracy w tym kierunku, że pozyskało niektóre organizacje miejscowe do współpracy na polu kulturalno - oświatowym.

Koło polskie wzięło w opiekę szczególnie dzieci członków oraz miejscową młodzież szkolną polską i francuską, która w czwartki, jako dni wolne od nauki, korzysta z urządzeń świetlicowych i przystępnych rozwywek umysłowych, gier i zabawek, a nawet może oglądać wyświetlane krótkometrażowe filmy.

Mówiąc o dzieciach naszych, zrobiono im miłe niespodzianki. Mianowicie drużyna Zuchów z Hayange II Okr. ZHP (Wsch. Francja) w czwartek dnia 8.12.1955 na uroczystości „Św. Mikołaj przy kominku zuchowym" popisywała się przed szczelnie wypełnioną salą, pieśniami z karuzelu, pląsami, tańcami, deklamacjami itp., po czym Św. Mikołaj obdarzył paczkami dzieci członków wszystkich grup narodowościowych YMCA w wieku lat 2 — 12 oraz całą drużynę zuchów. Na krótko przed świętami Bożego Narodzenia ta sama grupa zuchów urządziła, dla utrzymania zwyczaju polskiego, konkurs „Szopek" z nagrodami. Tańcami zuchowymi i odśpiewaniem licznych kolęd przed pięknie wykonaną przez członka polskiej YMCA panoramą Btelejem, grotą urodzin Dzieciątka Jezus i pałacem Heroda, zakończono konkurs, po czym odbyła się wspólna fotografia.

Widomym znakiem sukcesu zuchów jest coraz żywszy udział w świetlicy młodzieży miejscowej, naśladującej grupę dzieci polskich.

W inne dni tygodnia świetlica zajęta jest przez inne grupy (narodowościowe - etniczne).

Grupa węgierska urządziła już dnia 18.12.55 r. piękną uroczystość wigilijną dla licznej emigracji węgierskiej i rozdała dzieciom paczki spod choinki. Przy tej okazji węgierski ksiądz katolicki wyświetlił kilka własnych filmów kolorowych. Filmy te, bardzo ciekawe, powtórzył ów ksiądz dla wielkiej gromady dzieci członków i osób miejscowych. Grupa ukraińska odbyła kilka prób teatralnych. Grupa francuska również bierze się żywo do wykonania programu YMCA.

Klub foto-amatorów pod kierunkiem kol. Kamińskiego (wykonawcy panoramy) wykonał wiele udanych reportaży fotograficznych z wycieczek letnich, pogrzebów dwóch kolegów, uroczystości świetlicowych itp.

Dla utrzymania współpracy z miejscowymi organizacjami niepodległościowymi, Komitet świetlicowy na zakończenie starego Roku 1955 zezwolił na urządzenie w świetlicy sylwestrowego wieczorku familijnego dla członków Koła Rezerwistów i b. Wojskowych z Hayange oraz zaproszonych gości i członków Koła polskiej YMCA. Udany wieczorek zachęcił inne organizacje polskie do zacieśnienia współpracy z polską YMCA. Bogaty program w polskim Kole YMCA zapowiada w bieżącym roku pracę o wiele intensywniejszą niż w roku ubiegłym. **W.Śm.**

SZACHIŚCI POLSKIEJ YMCA GÓRĄ

Polski Klub Szachowy YMCA, w swym szybkim pochodzie ku szczytom londyńskiej Ligi Szachowej, która jest jednym z podstawowych filarów Brytyjskiej Federacji Szachowej, odniósł ostatnio kilka cennych zwycięstw, które postawiły go na równi z pierwszorzędnymi klubami angielskimi.

Grając na 20 szachownicach przeciwko reprezentacji Londyńskiej Szachowej Ligi Handlowej, obejmującej 37 klubów, Polski Klub Szachowy wygrał w stosunku 14 do 6.

W pierwszej rundzie turnieju o puchar Eastmana, w którym biorą udział najmocniejsze kluby szachowe Londynu, Polski Klub Szachowy pokonał w stosunku 6 : 4 mocną reprezentację Uniwersytetu Londyńskiego.

Grając swój pierwszy mecz ligowy pierwsza drużyna wzięła rewanż za zeszłoroczną, jedyną, nieznaczną (½ punkta) porażkę w rozgrywkach ligowych z drużyną Wimbledon II bijąc ją 8½ punkta do 1½.

W dotychczasowych rozgrywkach ligowych w których biorą udział dwie drużyny Polskiego Klubu Szachowego YMCA Londyn, pierwsza drużyna prowadzi w swej lidze 4 — 0 ze stosunkiem gier 32½ do 7½ a druga, mimo że została osłabiona odejściem kilku lepszych szachistów, ma również szanse awansu. Należy zaznaczyć, że cały szereg młodszych graczy, jak B. Tomalik, E. Miluski, A. Neuman i T. Kurzeja wykazują bardzo wielką poprawę formy.

LOSY TURNIEJÓW SZACHOWYCH

Końcowe rozgrywki szachowe o polskie mistrzostwo Londynu i okolic na rok 1955/56 dobiegają końca.

Mgr S. Jeżewski i H. Lota rozegrali już wszystkie rundy, zdobywając po 4 i pół punktów i podzielą między siebie piąte i szóste miejsce, które

zająć może i B. Forysiak, pod warunkiem, że wygra grę z kandydatem na mistrza mgrem T. Pruchnickim. Tegoroczne możliwości zdobycia mistrzostwa i pucharu Dziennika Polskiego ma czterech zawodników:

M. Duda Morena, mający obecnie 5 i pół punktów, tyleż punktów mający mgr T. Pruchnicki i p.p. M. Podoba oraz A. Weber, którzy zdobyli po 5 punktów.

Ostatnia decydująca runda zostanie rozegrana w niedzielę dnia 29 stycznia w Polskiej YMCA o godzinie 4 po południu.

Rozpoczęty jeszcze w kwietniu (dnia 15 r,ub.) Turniej Korespondencyjny o puchar przechodni Polskiej YMCA doprowadzony został do zakończenia gier eliminacyjnych w grupach. Z tych gier pozostaje jeszcze do rozsądzenia przez Komisję Rozjemczą 7 gier, po czym wyłonieni zostaną gracze — po trzech z dwóch grup eliminacyjnych — do rozgrywek finałowych.

FILM STULECIA

Zdjęcia z uroczystości Stulecia YMCA, nagrane ubiegłego roku w Paryżu, wypadły doskonale. Nagrywanie różnych scen historycznych, przedstawiających epizody z dziejów YMCA, dobiega obecnie końca. Hojny dar Johna D. Rockefellera sprawił, że zaniedbano pierwotnego zamiaru przygotowania krótkiego filmu dokumentacyjnego i zamiast tego powierzono znanej firmie A. J. Ranka opracowanie filmu, obliczonego co najmniej na 40 minut. Obraz będzie rówież udostępniony telewizji.

AKCJA GWIAZDKOWA — UPOMINKI DLA UCZNIÓW

Dzięki ofiarności Członków M.S.O. z dystryktu Hamburskiego, każde polskie dziecko uczęszczające na kurs języka ojczystego w obozach hamburskich otrzymało, oprócz tradycyjnych słodyczy, kolorowo ilustrowaną książeczkę z opowiadaniami i wierszykami w języku polskim. YMCA dokłada do książeczki kilka zeszytów, ołówek i gumkę.

Dzieci w obozie Mariental - Horst otrzymały liczne zabawki, zebrane przez Małżonkę Sekretarza Gen. YMCA Światowej p. Limbert, a wyremontowane i odnowione przez miejscową Sekcję Polską YMCA.

JASEŁKA W MŁODYM KOLE POLSKIM YMCA

Koło polskiej YMCA w Cité de la Chapelle wystawiło dnia 8 stycznia 1956 r. piękne „jasełka polskie" dla licznie zebranej Polonii z Freyming i okolicy. Loteria fantowa i różne niespodzianki w czasie zabawy tanecznej umiliły naszym Rodakom drugą niedzielę nowego roku.

Mimo braku świetlicy, młode Koło polskiej YMCA pracuje ochoczo i systematycznie.

NOWY ZBIOREK WIERSZYKÓW DLA PRZEDSZKOLI

W najbliższym czasie wydany zostanie przez Sekcję Polskiej YMCA w Niemczech nowy zbiorek wierszyków, wierszowanych bajeczek itp., przeznaczony dla przedszkolanek, nauczycieli przedm. ojczystych i osób zajmujących się pracą nad dziećmi.

Zbiorek ten obejmuje sto kilkadziesiąt wierszyków i wierszowanych bajeczek.

Sądzimy, że przy braku tego rodzaju materiału, stanowić będzie wydatną pomoc dla osób, prowadzących przedszkola i kursy przedmiotów ojczystych.

AKCJA WCZASÓW

Celem umożliwienia swym członkom i ich rodzinom spędzenia wakacji we Francji, Polska YMCA, w roku bieżącym, organizuje akcją letnich wczasów, która pozwoli wszystkim chętnym na tanie i przyjemne spędzenie ich urlopów.

Już w chwili obecnej zarezerwowane zostało, dla członków Polskiej YMCA z Anglii i Niemiec, 100 miejsc w ośrodku YMCA „LE ROCHETON". Ośrodek ten w La Rochette koło Melun (45 km. od Paryża) położony jest w pięknym, piętnastohektarowym parku, na skraju lasu Fontenebleau i Sekwany. Dojazd pociągiem z Paryża do Melun 35 min. Położenie to stwarza doskonałe warunki wypoczynkowe, a bliskość Paryża, Fontenebleau, Versailles daje możność urządzania wycieczek o charakterze krajoznawczym lub rozrywkowym.

Ośrodek oddaje do dyspozycji swych mieszkańców pokoje pojedyńcze lub zbiorowe wyposażone w nowoczesne urządzenia. Miłośnicy obozownictwa mogą mieszkać w namiotach, przy czym nadmienić należy, iż ze względu na swe instalacje miejscowość nadaje się doskonale do celów obozownictwa. Ośrodek zaopatrzony jest we wszelki sprzęt sportowy, gry, bibliotekę, telewizję itp., a doskonale utrzymane tereny sportowe dają możność uprawiania różnych sportów, od siatkówki do piłki nożnej włącznie.

Jedzenie doskonałe. Kuchnia francuska. Posiłki cztery razy dziennie: śniadanie, obiad, podwieczorek, kolacja. W kantynie ośrodka można zaopatrzyć się w artykuły toaletowe, słodycze, papierosy itp.

Koszt pobytu, pokrywający zakwaterowanie oraz całodzienne utrzymanie, wynosi dla członków 1.000 fr. dziennie.

Wszyscy zainteresowani akcją wczasów winni zwracać się po dodatkowe informacje: w Anglii — do kierowników Ognisk, we Francji i Niemczech — do Kierowników Sekcyj Polskiej YMCA.